MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 46. WARSZAWA, 23 PAŹDZIERNIKA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

CZY WŁAŚCIWA DROGA?

POWAŻNE stronnictwa sejmu śląskiego zgłosiły wniosek, wzywający odpowiednie instancje wykonawcze do zbadania sprawy przenoszenia na rolę ludzi, nie znajdujących dziś pracy w przemyśle i do obmyślenia środków takie przenoszenie umożliwiajacych. Nie trzeba chyba podkreślać, że wniosek ten jest objawem wysoce znamiennym i zasługuje na bardzo poważną uwagę. Przedewszystkiem z faktu jego zgłoszenia można chyba wnioskować, że ludzie żyjący w największym ośrodku przemysłowym Polski, znający ten ośrodek z codziennej obserwacji i mający poczucie odpowiedzialności za losy ludności, której są wybrańcami, dają wyraz przekonaniu, że kryzys obecny nie jest zwykłym, okresowym kryzysem konjunktury, lecz sięga głębiej do samej struktury ustroju gospodarczego. Bo przecież wędrówka ludności, to nie jakiś kontredans, dający się z łatwością prowadzić w tę lub inną stronę według komendy wodzireja i byłoby lekkomyślne chwytanie się tak daleko sięgających środków dla zwalczenia bezrobocia, gdyby się miało przekonanie, że za rok, czy dwa, powrót dobrej konjunktury kłopot ten i tak usunie. Jest to, o ile mi wiadomo, pierwsze u nas zwrócenie uwagi na taki właśnie charakter kryzysu przez czynnik oficjalny i znamienne jest, że wychodzi ono nie od rządu, lecz od spychanego z coraz większą zawziętością w cień organu społecznego. Wnioskodawcy sejmu śląskiego wykazali większą czujność, niż rząd, który dotychczas zdobywa się tylko na środki „przetrwania", uciekając się do sztywnych cen, dumpingu i podatków na bezrobotnych, widocznie w nadziei, że jesteśmy już na dnie kryzysu i byle przetrwać, to wszystko będzie dobrze, a głowić się nad wynajdywaniem jakichś zasadniczych środków zaradczych niema powodu. Myślę, że podkreślenie tego faktycznego stanu rzeczy jest na miejscu.

Nie czuję się bynajmniej powołanym do wydawania sądów o tem, czy i o ile wniosek, o którym mowa, jest na Śląsku na czasie i czy odpowiada tamtejszym warunkom. Pozwalam sobie raczej z jego ukazania się wziąć asumpt do kilku uwag natury ogólnej.

Hasło powrotu na rolę rozbrzmiewa dość już głośno na Zachodzie, cierpiącym na hypertrofję miast. U nas, o ile brać pod uwagę całość kraju, stosunki są, jak wiadomo, zgoła inne i trzy czwarte naszej ludności siedzi dotąd na roli; uważamy wieś naszą w wielu wypadkach za przeludnioną i kłopoczemy się ze znalezieniem odpowiedniego dla nadmiaru ludności wiejskiej upływu. W Polsce jest jeszcze miejsce dla miast, a w miastach dla ludności polskiej. Z jednej strony mamy zaledwie kilka miast, które osiągnęły cyfrę 200 — 300 tys. ludności, uważaną przez znawców za najodpowiedniejszą, t. zn. dającą już możność stania się wydajnym ośrodkiem kulturalnym, a nie degenerującym jeszcze życia ludzkiego, jak to czynią zbyt wielkie skupienia, marnotrawiące olbrzymie ilości energji i środków materjalnych. Z drugiej zaś strony nie jest przecież dla nikogo tajemnicą, że wiele z istniejących miast naszych musi być dopiero dla żywiołu polskiego zdobytych, gdyż znaczna część ich ludności, trzymającej w swem ręku bardzo ważne funkcje wytwórcze i wymienne, to ludność obca, coraz wyraźniej zaznaczająca swoje odrębne dążenia i interesy. Zarówno tedy w dziedzinie świeżego budownictwa, jak i utrwalania polskiego charakteru miast starych mamy dość jeszcze do zro-

biania i pożądany jest raczej przypływ ludności ze wsi do miast, niż odwrotnie. Z drugiej jednak strony niepodobna przypuszczać, żeby miasta w dzisiejszych warunkach mogły pochłonąć nasz przyrost naturalny; pozatem rozwój miast związany jest przecież z siłą nabywczą wsi, to też z jakiegokolwiek punktu wyruszymy na badanie spraw naszej ekonomiki i szukanie dróg poprawy, zawsze staniemy przed tem samem kapitalnem zagadnieniem podniesienia ekonomicznego wsi.

Opublikowano niedawno obliczenia naszego dochodu społecznego (dr. B. Dederko, „Kwartalnik Statystyczny“), z których wynika, że przeciętny dochód na głowę mieszkańca Polski wynosi 614 zł. w latach dobrej konjunktury; w latach gorszych, jak obecne, należy go zmniejszyć przynajmniej o jedną trzecią. Nawet ta pierwsza liczba jest niezmiernie mała, stawia nas na samym końcu narodów europejskich, a przecież taka liczba „przeciętna“ jest jeszcze daleko wyższa od tego dochodu, jakim muszą się u nas kontentować wielkie masy ludności bezrolnej i małorolnej w czasach, kiedy o zarobki trudno i emigracja, stała czy sezonowa, jest prawie całkowicie wykluczona. Nędza wsi jest istotnie bardzo wielka, a o braku gotowego grosza najlepiej świadczy fakt powrotu w wielu okolicach do metod handlu zamiennego. W tych warunkach nie potrzeba chyba wielu słów tracić na przekonywanie o konieczności szybkiej akcji ratunkowej, a postulat uprzemysłowienia wsi, wyzyskania jej taniej i próżnującej dziś przymusowo siły roboczej, narzuca się sam przez się. W jakim kierunku ma to uprzemysłowienie iść? Miałem już sposobność rozwijania na łamach „Myśli Narodowej“ poglądu, że—mojem zdaniem—najłatwiej i najprędzej prowadzi do celu ożywienie domowego przemysłu włókienniczego: do tego potrzeba jest właściwie niejakiej organizacji, umiejętność i „środki produkcji“ są przeważnie gotowe.

Mamy wielki przemysł włókienniczy fabryczny, przyczem niektóre z naszych fabryk należą do największych w Europie. Trzeba sobie jednak zdać sprawę z tego, że korzyści, jakie z tego przemysłu osiągamy, są wysoce problematyczne. Oparty on jest całkowicie (z wyjątkiem drobnej ilości wełny) na surowcu zagranicznym i już przez to stanowi pozycję obciążającą w bilansie handlu zagranicznego, której to pozycji ujemnej nie zdołał wyrównać przez eksport gotowych towarów. Według zestawienia „Przeglądu Lniarskiego“ deficyt na obrocie surowcem, półproduktami i gotowemi wyrobami włókienniczemi wyniósł w ciągu lat 1920 — 1931 olbrzymią sumę trzech miljardów dziewięciuset siedemdziesięciu sześciu miljonów złotych. I nie trzeba przypuszczać, że deficyt ten wykazały głównie pierwsze lata po wojnie, gdy przemysł nie zdołał się jeszcze odbudować, przeciwnie, największe salda ujemne wykazują lata 1927, 28, 29, t. zn. lata dobrej konjunktury i po zasileniu tego przemysłu obfitemi kredytami skarbowemi, spłacanemi w zdewaluowanym pieniądzu. Zdolność eksportowa przemysłu włókienniczego jako całości jest bardzo słaba, nie chroni on nas bynajmniej od obcego importu, i to mimo bardzo mizernych, jeżeli nie powiedzieć głodowych zarobków, jakie swoim pracownikom daje (przeciętny zarobek 27 zł. tygodniowo). W dodatku kapitał obcy zajmuje w tym przemyśle coraz wybitniejsze stanowisko, czy to jako właściciel akcji, czy też jako wierzyciel. O tem, żeby przemysł bawełniany mógł i chciał przynajmniej w jakiejś pokaźniejszej części nastawić się na przeróbkę surowca krajowego, lnu, nie może być mowy: dzisiejsze koszty oprocentowania nowego kapitału inwestycyjnego przekreśliłyby prawdopodobnie wszelkie kalkulacje opłacalności.

Ożywienie wiejskiego, domowego wyrobu tkanin lnianych może niewątpliwie stać się tą dźwignią, która walnie pomoże wsi podnieść się z dzisiejszej nędzy. Każdy znający stosunki wiejskie zgodzi się na kolosalną rolę, jaką odegrałby przypływ do małego gospodarstwa chociażby stu złotych gotowego grosza rocznie przez szereg lat. Nie jest to ożywienie rzeczą trudną, lecz przyznaję, wymaga pewnej liczby entuzjastów, którzyby się poświęcili na utworzenie organizacji, pośredniczącej między wytwórcami i konsumentem; bo właściwie wszystko w tej sprawie gotowe, chodzi jedynie o zapewnienie zbytu, czego wytwórca wiejski sam nie jest w możności dokonać. Przeszłość wskazuje, że takie rzeczy potrafimy pomyślnie przeprowadzać, a gdyby ktoś był zdania, że to są metody dobre dla Szkoły Ludowej, lub Macierzy Szkolnej, nie zaś do potężnych przewrotów ekonomicznych, to przypomnieć można, że podobnemi metodami samopomocy „laików“, czułych na potrzeby kraju, zbudowaliśmy między innemi Bank Polski, od którego to dzieła sfery, że tak powiem fachowe, trzymały się ostentacyjnie zdaleka.

Robotnicy śląscy, o których myślą wnioskodawcy tamtejszego sejmu, to pracownicy ciężkiego przemysłu hutniczego i górniczego, trudno więc, żeby znaleźli na wsi zastosowanie nabytych w niem umiejętności. Mogą się stać chyba tylko kiepskimi rolnikami. To też myśl przeniesienia ich na rolę traktować chyba trzeba jako środek ostateczny, wobec nieuchronnej konieczności zatrzymania zakładów przemysłowych. Istotnie, widoki przemysłu nie są wesołe, bo i dumping zaczna niedopisywać, jeżeli wierzyć doniesieniom pism, iż na Pomorzu ukazał się w handlu węgiel niewiadomego na razie pochodzenia, ofiarowywany odbiorcom po 30 zł. za tonnę, gdy węgiel polski kosztuje tam 70 zł., widocznie dumping ma dwa końce. Sytuacja nie byłaby jednak tak beznadziejna, gdyby np. sejm śląski zajął się sprawą, którą wszędzie na świecie starają się rozwiązać, mianowicie dostarczeniem wsi taniej siły

popędowej przez elektryfikację. Zaabsorbowałoby to zapewne te zbędne dziś siły robotnicze, zaś wsi dałoby najpierw lepsze warunki zarobkowe, a potem i wygodniejszy poziom egzystencji, może nawet to nieszczęsne kino, uważane przez wielu za konieczny warunek utrzymania ludności na wsi... Tu oczywiście inicjatywa państwowa jest niezbędna. Nie wiem, czy można się jej spodziewać, bo dumping łatwiejszy.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

O ZMIERZCHU KAPITALIZMU
I NOWYM USTROJU SŁÓW KILKA

GORĄCA dyskusja, która w ostatnich latach rozwinęła się na temat kapitalizmu, jego zmierzchu czy upadku i wytwarzania się nowego ustroju społecznego, cierpi, mam wrażenie, na tem, że powszechnie nie operuje ścisłem i jasnem pojęciem ustroju kapitalistycznego. Wskutek tego krytyka zwraca się przeciw nieistotnym jego, albo przynajmniej częściowym tylko, podstawom, a projekty reform i plany ustrojowe uderzają w zasadnicze podstawy ustroju społecznego, których naruszenie może zniszczyć korzyści dotychczasowego naszego życia społecznego, nie usuwając natomiast tych właśnie braków, o których naprawę lnb usunięcie chodzi.

Powszechnie określa się ustrój kapitalistyczny dwiema cechami, które go mają specyficznie charakteryzować: 1) prywatna własność, wraz z wolnością testowania i 2) wolność gospodarcza, czyli t. zw. niesłusznie i nieściśle wolna konkurencja. Te dwie cechy nie wystarczają na określenie wpływów, jakich wytworem jest ustrój kapitalistyczny XIX i XX wieku. Można sobie doskonale wyobrazić ustrój, zupełnie niepodobny do naszego, który byłby mimo to oparty na tych podstawach. Takim np. byłby ustrój drobnochłopski i drobnorzemieślniczy. Pewnych analogij przykładowych dostarcza nam też historja, gdy przyglądamy się ustrojowi późnej starożytności lub XVII i XVIII w., tak przecież niepodobnych ustrojowo do naszych czasów. Dlatego też dla bliższego scharakteryzowania ustroju kapitalistycznego dodaje się na dalszym planie zwykle jeszcze jakieś ogólnikowe uzupełnienie, na które się później nie zwraca uwagi we wnioskach, jak np. istnienie wielkich przedsiębiorstw, decydujące znaczenie kapitału w produkcji, operowanie w niej wielkiemi masami kapitału, maszynizm, kierowanie się w działalności przedewszystkiem zyskiem, materjalizm, racjonalizm itp. Gdy się przypatrzymy bliżej tym określeniom, to spostrzec musimy, że właściwie sprowadzają się one wszystkie do niesformułowanego zwykle i wskutek tego niedocenianego twierdzenia, iż nasz ustrój współczesny uformował się nietylko pod wpływem wymienionych wyżej dwóch instytucyj, lecz jest nadto rezultatem współdziałania z niemi trzeciej jeszcze okoliczności, mianowicie działania w ciągu XIX i XX w. prawa wielkości przedsiębiorstw stale w tym kierunku, że najrentowniejszemi okazywały się coraz większe przedsiębiorstwa, że działało ono tedy w tym czasie koncentracyjnie w całej pełni na produkcję, jak i w pewnym, znacznie mniejszym stopniu i w znacznie mniejszej ilości dziedzin na rozdział majątku społecznego. Rzeczywiście, decydujące znaczenie kapitału w produkcji, operowanie wielkiemi masami kapitału, maszynizm — to przecież skutek koncentracyjnego działania prawa wielkości przedsiębiorstw, faktu, że najrentowniejszemi okazywały się wciąż wielkie, coraz większe przedsiębiorstwa, operujące wielkiemi masami kapitału w formie maszyn i dostosowaną do nich ilością pracy. Materjalizm, racjonalizm, dążenie do zysku — to również w dużej mierze konsekwencje koncentracji produkcyjnej, przy której ze względu na wielkie ryzyko wielkich nakładów o powodzeniu decyduje ścisła kalkulacja, posiadanie dużych kapitałów, co — przy współdziałaniu innych czynników — staje się mimowoli samo w sobie celem życiowym; jeśli koncentracja nie jest tu jedyną przyczyną podobnego nastawienia psychicznego, to w każdym razie stwarza ona niezmiernie podatną dla niego atmosferę, ułatwia rozkwit odnośnych instynktów, tkwiących zawsze w duszy ludzkiej. Naturalnie trzeba pamiętać, że znów nie samo koncentracyjne działanie prawa wielkości przedsiębiorstw wytworzyło ustrój kapitalistyczny, lecz współdziałanie jego z własnością prywatną i wolnością gospodarczą, podobnie jak te dwie ostatnie instytucje nie wytworzyłyby, jakeśmy widzieli, same naszego ustroju, bez współdziałania koncentracji.

Powyższe ujęcie kapitalizmu czyni nam też jasnem jego współczesne załamanie się. Przyczyną, dla której wytworzył się w rozwoju ludzkości, była jego wyższość nad dawniejszemi ustrojami pod względem produkcyjnym. Dzięki otwarciu pola dla inicjatywy prywatnej i oparciu ceny na wolnej grze podaży i popytu wyciągał *maximum* energji z działalności ludzkiej, umożliwił swobodne dostosowywanie się do siebie czynników produkcji, najkorzystniejsze dla jej wyników, uczynił korzystnym i pożądanym postęp techniczny. Wskutek tego zwiększył niezmiernie produkcję i dochód społeczny, był w stanie wyżywić niepomiernie większą liczbę ludności, niż wszystkie znane nam dotychczasowe ustroje. Te swe zalety zawdzięczał wszystkim trzem czynnikom swego powstania i funkcjonowania. Lecz też same czynniki, po dojściu do pewnego *optimum*, zahamowały jego wydajność i pożyteczność. Skutkiem działania koncentracji wolność gospodarcza powoli zaczęła się przemieniać w swą przeciwstawność, monopol, wykluczający działanie prawa podaży i popytu, tak korzystne dla konsumenta i dla producenta jako regulator rozmiarów i kierunków wytwórczości. Nastąpiło coraz większe wiązanie gospodarcze ustroju, wywołujące równocześnie i wiązanie go administracyjne przez państwo w obronie tak konsumenta jak pracownika przed monopolicznie związanym producentem i przedsiębiorcą. W rezultacie liberalny ustrój kapitalistyczny zamienił się już przy końcu XIX w. na „kapitalizm związany“, który stopniowo zatracił większość swych pierwotnych zalet i przyczyn wyższości. Zachowując możność olbrzymiej produkcji, uniemożliwił racjonalność jej rozmiarów wskutek usztywnienia elementów, których swobodne dostosowywanie się do siebie dawało *optimum* tak pod względem kierunków pro-

dukcji i jej rozmiarów, jak co do rozdziału dochodu, a przez to i rozkładu siły konsumcyjnej. Te właśnie okoliczności przedewszystkiem — poza innemi, mniej decydującemi — przetworzyły zwykłą falę konjukturalną w obecny olbrzymi światowy kryzys, który nasunął tyle wątpliwości co do wartości i celowości ustroju kapitalistycznego.

Dawniejsza, a śladem jej i współczesna krytyka ustroju kapitalistycznego zwraca się przedewszystkiem przeciw instytucjom własności i wolności gospodarczej. Im się przypisuje anarchię produkcji, niekorzystny rzekomo społecznie rozdział dochodu i majątku i t. p. W związku z tem programy reform żądają zniesienia czy ograniczenia albo własności prywatnej albo wolności gospodarczej, albo też obu tych instytucyj równocześnie,— co ostatnie zresztą jest najlogiczniejsze, gdyż najczęściej ograniczenie czy też zniesienie jednej jest z istoty swej równocześnie ograniczeniem czy też zniesieniem i drugiej, jako ściśle z sobą związanych i jednogatunkowych, z czego sobie najczęściej programy te nie zdają sprawy. Przeciwstawia się kapitalizmowi ustrój gospodarstwa planowego w najrozmaitszych jego formach, od skrajnie kolektywistycznych do pozornie wolnościowych, co jednak końcem końców wychodzi zwykle na jedno i to samo, na jakąś formę kolektywizmu. Otóż, jakeśmy to wskazali, podobne reformy bynajmniej nie usunęłyby tych braków ustroju kapitalistycznego, które służą im za pobudkę, a natomiast „wylałyby dziecko wraz z kąpielą“, odbierając ustrojowi społecznemu te jego cenne zalety, jakiemi rozporządza, opierając się na własności prywatnej i wolności gospodarczej, a więc wysoką produkcyjność i wielki dochód społeczny, czyli że w rezultacie nie przyniosłyby spodziewanych korzyści, lecz znacznie większe niespodziewane szkody. Atakowanie i ograniczanie tych instytucyj byłoby uzasadnione logicznie tylko wtedy, gdyby ustrój kapitalistyczny: 1) był wytworem tylko tych instytucyj — co jak widzieliśmy nie jest słuszne— albo też, gdyby 2) działanie trzeciej jego podstawy, prawa wielkości przedsiębiorstw, stale zawsze szło w kierunku koncentracyjnym, czyli gdyby istniało absolutne prawo koncentracji przedsiębiorstw i majątków. Z tego punktu widzenia jedynie konsekwentni są socjaliści marxowscy i komuniści leninowscy, którzy wciąż przysięgają na przestarzałe marxowskie, absolutne sformułowanie prawa koncentracji, dawno w nauce obalone i porzucone. Wszyscy inni reformatorzy — a zaliczam tu ze współczesnych przedewszystkiem korporacjonistów[1]) wszelkiego typu—choć rzekomo zwalczają marxizm i od niego się odżegnują, stoją w tym punkcie pod wyraźną suggestją doktryny marxowskiej.

Jeżeli więc pragnie się naprawy błędów i braków ustroju kapitalistycznego, a nie chce mu się odbierać tych korzyści i zalet, jakie mu dają prywatna własność i wolność gospodarcza, to pozostawałaby, zdawałoby się, jeszcze jedna droga, mianowicie atakowanie trzeciej jego podstawy, mianowicie działania prawa wielkości przedsiębiorstw. Póki jednak ono działa w kierunku dawania największej rentowności największym przedsiębiorstwom, przeciwdziałanie mu byłoby równoznaczne z obniżaniem dochodu społecznego, zubożaniem społeczeństwa. Mogłoby więc znajdować swe uzasadnienie tylko, gdyby drogą poświęcania tych korzyści gospodarczych miało się uzyskiwać jakieś większe korzyści pozagospodarcze, jak społeczne, moralne, polityczne lub t. p. Byłoby to możliwe — *grosso modo* — w społeczeństwach bogatych, wątpliwej wartości w społeczeństwach biednych.

Znacznie pewniejsze i jedynie wskazane jest w podobnych warunkach nie atakowanie podstaw ustroju kapitalistycznego, lecz jedynie tych jego niekorzystnych objawów, jakie wywołuje logiczny rozwój współdziałania wszystkich jego podstaw, na co wyżej wskazywaliśmy, a więc walka z przeciwstawnościami podstaw tego ustroju, jakie ich współdziałanie ewolucyjnie nieodbieżnie wywołuje. Trzeba utrzymywać te podstawy w ich pierwotnej czystości, by dawały swe *optimum*, a nie wywoływały swych zaprzeczeń, zmniejszających to *optimum*. A więc interwencja celem utrzymania rzeczywistej wolności gospodarczej, ceny wolnokonkurencyjnej. Program to mniej radykalny, lecz właśnie przez to o wiele trudniejszy i w skutkach bardziej owocny. Chodzi w nim o gospodarczą cenę wolnokonkurencyjną nietylko w stosunku do konsumenta, lecz i o możność jej osiągnięcia przez małego producenta i robotnika, którzy mogą wykazywać niższość nie ze względów gospodarczych, lecz pozagospodarczych. Granica interwencji jest tu naturalnie dość śliska, wymagająca wiele taktu i subtelności w orjentacji, i dlatego łatwo tu o wypaczenie w jednym lub w drugim kierunku. W ogólności, można powiedzieć, granicą interwencji musi tu być konieczność utrzymania wolnej gry podaży i popytu w takich rozmiarach, by w każdej dziedzinie mogła ona służyć za drogowskaz produkcji. Nie będę się nad temi zagadnieniami szerzej rozwodził, są one bowiem przedmiotem szczegółowych roztrząsań we wszelkich wykładach polityki ekonomicznej, a prowadzą mię do dalszych, aktualniejszych, jeśli chodzi o przeobrażanie się obecnego ustroju, rozważań.

Wspomniałem wyżej, że prawo wielkości przedsiębiorstw nie jest absolutne, t. zn. że nie zawsze musi działać koncentracyjnie, wspomniałem też w ostatnim ustępie, że wyższa rentowność może być osiągnięta nietylko przez przyczyny czysto gospodarcze, lecz i pozagospodarcze. Wszak, podobnie jak i wszelkie zjawiska gospodarcze, prawo wielkości przedsiębiorstw jest wynikiem ustosunkowania się do siebie czynników pozagospodarczych, jak gospodarczych. Zjawiska socjologiczne, polityczne, religijne etc. oddziaływają na zjawiska gospodarcze, a te znów na poprzednie. Otóż faktem jest, że już w początkach XX w. najrentowniejszemi zaczęły się okazywać wielkie, coraz większe przedsiębiorstwa nieraz niekoniecznie wskutek swej większej produkcyjności czyli niższego poziomu kosztów produkcji, lecz wskutek możności wykorzystywania pewnych okoliczności pozagospodarczych, czy też pewnych czynników gospodarczych tylko naskutek swej wielkości.

O kierunku działania prawa wielkości przedsiębiorstw decyduje szereg okoliczności, które można ująć zgrubsza w następujące grupy: rynek, stosunki kapitałowo-finansowe, organizacja społeczna gospodarstwa, technika, praca najemna i praca kierownicza. W pierwszej połowie XIX w. wszystkie te czynniki działały koncentracyjnie. Rynek się zwiększał, umożliwiając powstawanie wielkich przedsiębiorstw i dając im przewagę na rynkach z po-

[1]) Jak np. korporacjonizm z konieczności musi doprowadzić do pewnej formy etatystycznego kolektywizmu, wskazał na to niezmiernie przekonywająco X. Dr. Roszkowski w świeżo ogłoszonej, ciekawej i wnikliwej pracy p. t. „Korporacjonizm Katolicki“, Poznań 1932, Św. Wojciech.

wodu ich wielkości, wzrastał i taniał kapitał, umożliwiając wielkie nakłady i dając tańsze warunki wielkim przedsiębiorstwom, niż małym, gdyż miał przy ich finansowaniu mniejsze koszty, a większe zyski, udoskonalały się formy organizacyjne, ułatwiając do nich zaufanie, technika tak w dziedzinie silników poruszających, jak metod fabrykacji wskutek szeregu wynalazków, przedewszystkiem pary, czyniła produkcję większą tańszą od mniejszej, podział pracy wykonawczej czynił ją tańszą i lepiej wyzyskaną w wielkiem przedsiębiorstwie, a podaż sił kierowniczych, odpowiednio uzdolnionych, będących w stanie ogarnąć całość przedsiębiorstwa ówczesnej wielkości, była dostateczna. Stąd tak silne działanie koncentracji w tym czasie.

(Dok. n.) EDWARD TAYLOR

REFORMY W SĄDOWNICTWIE

ZAPOWIEDZIANE przez Ministra Sprawiedliwości, jeszcze w dniu 9 stycznia 1931 r. delelegacji Zarządu Głównego Zrzeszenia Sędziów i Prokuratorów zawieszenie nieusuwalności sędziów znalazło swój wyraz w rozporządzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 25 sierpnia 1932 r., ogłoszonem w Nr. 73 „Dziennika Ustaw“ pod poz. 663. Zaniepokojony pogłoskami o grożącem sądownictwu zawieszeniu nieusuwalności, Zarząd Główny Zrzeszenia, na uzyskanej w dn. 9 stycznia 1931 r. audjencji, usłyszał wówczas z ust p. ministra, iż uważa on za konieczne wniesienie takiej ustawy do Sejmu ze względu na niedostateczne wyzyskanie poprzedniego zawieszenia nieusuwalności, a stąd potrzebę dalszych usunięć ze względów rzeczowych oraz w związku z wprowadzeniem nowej procedury cywilnej (patrz Nr. 1 i 2 „Głosu Sądownictwa“ str. 48 i 108). Należy przypomnieć sobie, że ten poprzedni okres usuwalności sędziów, na który powołał się p. minister, był bardzo długi, a w każdym razie więcej niż wystarczający, by wszystkich sędziów, których Polska liczy niespełna 3000 osób, przenieść w stan spoczynku lub do innych sądów; rozporządzenie bowiem Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 6 lutego 1928 r., wydane na podstawie pełnomocnictw, udzielonych przez Sejm w § 284, zezwalało władzy mianującej — sędziów Sądu Najwyższego w ciągu trzech miesięcy, sędziów Apelacyjnych w ciągu roku, a sędziów Okręgowych i Grodzkich w ciągu dwóch lat przenosić bez ich zgody do innego sądu lub w stan spoczynku. Wówczas również zapowiedziane były „względy rzeczowe“, któremi ma się rzekomo kierować władza rządząca przy usuwaniu lub przenoszeniu sędziów; skończyło się jednak na usunięciu kilku wybitnych prawników, zajmujących w sądownictwie naczelne stanowiska i cieszących się powszechnem poważaniem w sferach sądowych. Wprowadzenie zaś nowego Kodeksu Postępowania Cywilnego, jako wysunięty przez p. ministra powód do zawieszenia nieusuwalności sędziowskiej, spotkało się w sferach prawniczych z ogólnem zdumieniem.

Obecnie wydane rozporządzenie z dn. 23 sierpnia b. r. jest dość lakoniczne. Od dnia wejścia jego w życie, czyli od dn. 27 sierpnia b. r. do dn. 31 października b. r. władza mianująca może przenosić sędziów bez ich zgody do innego równorzędnego sądu lub w stan spoczynku. Prezesów i wiceprezesów sądów można w tym czasie również mianować bez ich zgody sędziami w tychże sądach oraz w sądach równorzędnych lub wyższych, przyczem otrzymują oni w tym wypadku tylko uposażenie, związane z nowem stanowiskiem. W ciągu tegoż okresu czasu nie mają zastosowania przepisy o przedstawianiu przez sądy kandydatów na wakujące stanowiska sędziowskie. Sędziowie, którzy nie nabyli praw emerytalnych, otrzymują w wypadku przeniesienia w stan spoczynku jednorazową odprawę w wysokości sześciomiesięcznego uposażenia, jeżeli pozostawali przynajmniej pięć lat w służbie państwowej polskiej, jeżeli zaś pozostawali w tej służbie krócej — w wysokości trzymiesięcznego uposażenia.

Jak nas poinformowano w sferach sądowych, 300 zgórą sędziów już ruszono z zajmowanych dotychczas stanowisk, czyli przeniesiono w stan spoczynku lub do innych sądów; przygotowywana jest obecnie nowa lista, obejmująca 100 zgórą osób, a kursujące pogłoski, oparte rzekomo na zamiarach Ministerstwa Sprawiedliwości, przewidują ogólną cyfrę conajmniej 700 sędziów, których ma dotknąć omawiane rozporządzenie.

O ile chodzi o same osoby, sprawa przedstawia się bardzo niepocieszająco, a nawet wprost tragicznie dla młodego sądownictwa polskiego, gdyż przeniesiono już w stan spoczynku szereg najzdolniejszych prawników, cieszących się w sferach sądowych powszechnym szacunkiem; wręcz niezrozumiałe jest przeniesienie niektórych sędziów do innych części kraju, w których panuje odmienne prawodawstwo, taki bowiem sędzia, nie znając nietylko miejscowego prawodawstwa, lecz również miejscowych stosunków gospodarczych i zwyczajowych, w ciągu dobrych 2-ch lat nie będzie mógł skutecznie wykonywać wymiaru sprawiedliwości. Między innymi został usunięty ze stanowiska Prezesa Izby I-szej cywilnej Sądu Najwyższego, obejmującej cały były zabór rosyjski, jeden z najwybitniejszych prawników w Polsce, Bolesław Pohorecki, którego niespożytej pracy i zdolnościom judykatura Sądu Najwyższego zawdzięcza bardzo dużo. W tych warunkach trudno powiedzieć, aby sfery rządzące kierowały się względami rzeczowemi przy wykonaniu omawianego rozporządzenia.

Usunięcie Prezesa Izby I-szej Sądu Najwyższego postawione jest w związku z połączeniem w jednej Izbie wszystkich spraw cywilnych z trzech zaborów wobec wprowadzenia od 1 stycznia 1933 r. jednolitego dla całego Państwa Kodeksu Postępowania Cywilnego. Pomijając już okoliczność, że Kodeks ten zacznie obowiązywać dopiero za trzy miesiące, a sprawy, na tym Kodeksie oparte, zaczną napływać do Sądu Najwyższego conajmniej za rok, oraz pomijając poważną wątpliwość, panującą w sferach sądowych, czy należało w tym wypadku poświęcić obecnego prezesa Izby I-szej, by pozostał na miejscu prezes Izby 3 ciej, obejmującej zabory austrjacki i pruski, samo połączenie tych Izb uważane jest w sferach sądowych za niecelowe, a nawet wręcz szkodliwe, gdyż faktyczne zlanie się tych Izb jest w dalszym ciągu niemożliwe wobec odmiennego prawodawstwa cywilnego materjalnego w każdej z 3-ch dzielnic; obowiązywać będzie ono jeszcze przez szereg lat i będzie uniemożliwiać sędziemu jednej dzielnicy rozstrzyganie

spraw, napływających z innych dzielnic. Również jeden prezes nie będzie w stanie, przy największych zdolnościach i pracowitości, opanować materjału pochodzącego z 3-ch dzielnic, przypuszczają więc, że będą utworzone dla każdej dzielnicy oddzielne sekcje, z wyznaczeniem przewodniczącego każdej sekcji. Nie kijem, to pałką, a skasowanie oddzielnych Izb stanie się fikcją.

Zaalrmowane tak doniosłemi zmianami w sądownictwie polskiem społeczeństwo nasze już nie spostrzegło innego, posiadającego nie mniejszą doniosłość dla sądów rozporządzenia, ogłoszonego w tymże Nr. 73 „Dziennika Ustaw" pod poz. 661, a zmieniającego większość przepisów prawa o ustroju sądów powszechnych w kierunku zmniejszenia zakresu autonomji i korporacyjnego ustroju naszych sądów.

Pierwsze jednolite dla całego państwa przepisy o ustroju sądowym zostały wydane w dn. 6 lutego 1928 r. („Dz. Ust". Nr. 12 poz. 93) w drodze rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej na podstawie pełnomocnictw, udzielonych przez Sejm w dn. 2 sierpnia 1926 r.; rozp. to weszło w życie w dniu 1 stycznia 1929 r., a już w dniu 4 marca tegoż roku Sejm poczynił w niem cały szereg zmian („Dz. Ust". Nr. 5 poz. 43), zmierzających do ustalenia większej niezawisłości sędziów od władzy administracyjnej, a do rozszerzenia natomiast kompetencyj Ogólnych Zgromadzeń sędziów poszczególnych sądów, tak co do obsadzenia wakujących stanowisk sędziowskich, jako też usuwania sędziów z zajmowanego stanowiska. Następnie przychodzi rozp. Prezydenta z dnia 24 listopada 1930 r. („Dz. Ust". Nr. 80 poz. 626), wydane z powołaniem się na art. 44 ust. 5 Konstytucji, które wprowadza ponownie niewielkie zmiany, uchylając czasami wyraźne postanowienia sejmowe i powracając do postanowień rozp. z dnia 6 lutego 1929 r. Wreszcie obecne rozp. z dnia 23 sierpnia b. r. kasuje nawet te prerogatywy sądów, które zawierało początkowe rozp. z dnia 6 lutego 1928 r.

Najbardziej ujemną cechą ostatniego rozporządzenia jest odjęcie Ogólnym Zgromadzeniom, istniejącym w każdym sądzie, prócz sądów grodzkich, prawie wszystkich funkcyj organizacyjnych i chroniących sędziów od wpływów władzy administracyjnej. Ogólne Zgromadzenia odgrywały dotychczas bardzo poważną rolę w układzie osobowym sądów, do nich bowiem należało przedstawianie kandydatów na wakujące stanowiska sędziowskie, przeniesienie sędziego wbrew jego woli na inne miejsce służbowe w interesie względnie dla dobra wymiaru sprawiedliwości lub powagi stanu sądziowskiego, oraz przeniesienie w stan spoczynku na własne żądanie sędziego lub wbrew jego woli, z powodu choroby i niemożności w ciągu jednego roku pełnienia obowiązków, z powodu ułomności cielesnych, upadku sił fizycznych lub umysłowych; następnie do obowiązków Ogólnego Zgromadzenia należał wybórc złonków sądu dyscyplinarnego i podział czynności między nimi, podział wogóle czynności sądowych na każdy rok kalendarzowy lub okres dłuższy, wyznaczenie sędziów, rozpoznających sprawy jednoosobowo, zastępców sędziów śledczych, wyznaczenie roków sądów przysięgłych, sędziów okręgowych na te roki i sędziów do spraw nieletnich. Wszystkie te funkcje zostały obecnie przekazane Kolegjom administracyjnym, w których skład wchodzi prezes sądu i dwie osoby przez niego powołane (zwykle są to wiceprezesi, czyli czynnik administracyjny), oraz trzej sędziowie, powołani przez Ogólne Zgromadzenie danego sądu, nadto prokurator, który posiada prawo stawiania wniosków; a ponieważ, jak zaznaczyliśmy, połowę składu Kolegjum Administracyjnego stanowi czynnik administracyjny, a w każdym razie osoby, wybrane przez prezesa i w razie równości głosów, zgodnie z rozporządzeniem przeważa głos przewodniczącego, więc w praktyce wszystkie powyżej wyłuszczone kwestje będą obecnie rozstrzygane przez prezesa sądu i dwie osoby przez niego wybrane, rola zaś Ogólnego Zgromadzenia sprowadzi się do fikcji. Nawet w tak autokratycznem państwie, jakim było Państwo Rosyjskie, funkcje te pełniły Ogólne Zgromadzenia Sądowe.

O przeniesieniu sędziego na inne miejsce służbowe „w interesie i dla dobra wymiaru sprawiedliwości lub powagi stanu sędziowskiego" będzie odtąd decydować na wniosek jego prezesa na posiedzeniu niejawnem trzech sędziów sądu wyższego, wybranych przez Kolegjum Administracyjne tegoż sądu; dotychczas zaś o tem decydowało Ogólne Zgromadzenie sądu wyższego większością $^3/_5$ głosów, o ile chodziło o interes w miaru sprawiedliwości, lub zwykłą większością, o ile chodziło o dobro wymiaru sprawiedliwości lub o powagę stanu sędziowskiego — a to na wniosek Ministra Sprawiedliwości lub Zgromadzenia Ogólnego tego sądu, do którego należy dany sędzia. Różnica tych dwóch trybów postępowania jest zbyt rażąca.

Podług dotychczasowych przepisów wyboru członków sądu dyscyplarnego dokonywało Ogólne Zgromadzenie sądu, które też przeprowadzało podział czynności w tym kierunku, obecne zaś rozporządzenie uchyliło funkcję Zgromadzenia Ogólnego co do podziału czynności, natomiast postanowiło, że skład sądący dla poszczególnej sprawy wyznacza przewodniczący sądu dyscyplarnego, a tym z urzędu jest zawsze prezes sądu.

Tryb wewnętrznego urzędowania sądów pokoju, sądów grodzkich, okręgowych i apelacyjnych określały regulaminy, wydane w drodze rozporządzenia przez Ministra Sprawiedliwości, natomiast Sąd Najwyższy na Ogólnem Zgromadzeniu sam uchwalał dla siebie tekstu regulaminu, który Minister Sprawiedliwości wydał już w drodze rozporządzenia i ogłosił w „Dzienniku Ustaw". Obecnie uprawnienie to zostało całkowicie odjęte Sądowi Najwyższemu, który pod tym względem zrównany został z innemi sądami. Zmiana tego przepisu widocznie dowodzi, że Minister Sprawiedliwości ma zamiar zmienić również regulamin wewnętrznego urzędowania Sądu Najwyższego.

Szczególnie gdy mówimy o Ogólnych Zgromadzeniach Sądu Najwyższego, należy pamiętać o wielkiej powadze i doniosłem znaczeniu tych zgromadzeń, instytucja ta bowiem jest najwyższą interpretatorką prawa w Państwie Polskiem; o taką interpretację może zwrócić się do Ogólnego Zgromadzenia każda Izba Sądu Najwyższego, Prezes Izby, Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego oraz Ministerstwo Sprawiedliwości. Poza tem Ogólne Zgromadzenia w każdym Sądzie mają jeszcze duże znaczenie społeczne, gdyż są one jedynem miejscem spotkania i zaznajomienia się sędziów; w większych sądach, gdzie jest kilkudziesięciu sędziów, podzielonych na rozmaite wydziały i izby, nie mających w gmachach sądowych, jak u nas, gabinetów do pracy, a zmuszonych całą pracę przygotowania się do sesji sądowej odbywać u siebie w domu, wzajemne zapoznanie się wszystkich możliwe jest tylko na Ogólnych Zgromadzeniach. Dziś więc sędziowie

będą całkowicie rozproszkowani, gdyż wskutek tak znacznego obcięcia funkcyj Ogólnych Zgromadzeń, będą odbywały się one nie więcej jak dwa razy do roku.

Nie będziemy wchodzili w dalsze szczegóły tego rozporządzenia, przesiąknięte jest ono do drobiazgów jedną przewodnią myślą pozbawienia sądów wpływu na należyty dobór sił sędziowskich i na samych sędziów, a uzależnienia sędziów od prezesów sądów, czyli w ostatecznym wyniku od Ministerstwa. O jednym jeszcze tylko szczególe słów kilka, a mianowicie o połączeniu izb cywilnych w Sądzie Najwyższym. Rozp. z 6 lutego 1928 r. postanowiło, iż w miarę ujednostajniania ustawodawstwa cywilnego Minister Sprawiedliwości będzie określał w drodze rozporządzeń liczbę izb cywilnych w Sądzie Najwyższym. Natomiast Sejm, rozumiejąc doskonale, iż Sąd Najwyższy najbardziej jest kompetentny do wybrania odpowiedniej chwili w tym kierunku, a nadto że zwinięcie izby jest połączone z redukcją właściwego prezesa, do czego nie może być uprawniona władza administracyjna, w ustawie z dn. 4 marca 1929 r. postanowił, iż ustanawia się dwie izby cywilne, Minister zaś Sprawiedliwości, na wniosek Zgromadzenia Ogólnego Sądu Najwyższego, postanowi o złączeniu tych izb w jedną. Rozp. z 23 sierpnia b. r. zmieniło ustawę sejmową w tem znaczeniu, że o złączeniu izb zdecyduje Minister Sprawiedliwości bez wniosku ze strony Sądu Najwyższego.

W tych warunkach jasne jest, że odtąd, nawet po upływie okresu, na który została zawieszona nieusuwalność sędziowska, żaden sędzia nie będzie pewien swego jutra, gdyż możliwość usunięcia jego z zajmowanego stanowiska ze względu na „interes i dobro wymiaru sprawiedliwości lub powagę stanowiska sędziowskiego“, co jest pojęciem bardzo rozciągłem, którego wykładnia będzie odtąd spoczywać w rękach czynnika administracyjnego, będzie zawsze przypominać sędziemu o jego zależności od panującego w danej chwili w państwie kierunku politycznego. Chodzi w danym wypadku nie o osoby sędziów, gdyż każdy funkcjonarjusz państwowy może być usunięty w razie zmiany systemu rządzenia w państwie, lecz o sam wymiar sprawiedliwości, który nie może być zależny od zmiany kierunków politycznych. Zachodzi kardynalna różnica między urzędnikiem, który obowiązany jest lojalnie wykonywać zlecenia i rozkazy władzy przełożonej, a sędzią, który przy wyrokowaniu winien kierować się wyłącznie ustawą i własnem sumieniem; aby jednak sprostać temu zadaniu, sędzia musi mieć pewność, że za wydanie takiego lub innego wyroku nie spotka go ani nagroda, ani też niezasłużona kara. Na tem polega niezawisłość sędziowska, którą w imię dobra sprawiedliwości zagwarantowały sędziemu państwa cywilizowane. Nadto należy zaznaczyć, że krzywda, która się stała dla wymiaru sprawiedliwości wskutek usunięcia wybitnych jednostek z sądownictwa, nie da się już następnie naprawić w ciągu bardzo długiego czasu, co najmniej lat kilkunastu; do aparatu administracji państwowej mogą być w każdej chwili powołane zupełnie świeże, wybitnie zdolne jednostki, które, acz nie kierowały dotychczas nawą państwową, po krótkim stosunkowo czasie, dzięki swym zdolnościom, potrafią wlać myśl twórczą do organizmu państwowego; mężowie stanu są nimi przeważnie od urodzenia — widzimy w państwach cywilizowanych takich mężów stanu, którzy nie potrzebowali zaczynać swej karjery politycznej od stanowiska drobnego urzędnika. Inaczej jest w sądownictwie, tu genjusz bez rutyny nic nie pomoże i najzdolniejszy prawnik ze stopniem nawet profesora, postawiony odrazu na stanowisku sędziego Sądu Najwyższego, a nawet Sądu Apelacyjnego, nie da sobie rady, będzie łamał życie prawne ludności i wprowadzał zamęt w to życie; musi mieć natomiast ogromną rutynę, przy wydawaniu każdego wyroku musi stale mieć w pamięci tysiące innych rozstrzygnięć oraz skutków, jakie w życiu prawnem i w rozwoju judykatury wywołały poprzednie wyroki, które muszą być dla niego stałym sprawdzianem prawidłowego i celowego wymiaru sprawiedliwości. Takich sił, szczególnie dla wyższych stanowisk sędziowskich, Polska już nie wychowa tak prędko, tembardziej, że trudna karjera sądowa, wymagająca wielkiej pracy umysłowej, oraz mierne uposażenie sędziego nie pociągają zbytnio młodych sił prawniczych do tego zawodu. Z drugiej strony, o ile usunięci obecnie sędziowie zostaną przez sfery rządzące zastąpieni bardziej miernemi siłami, ci jeszcze przez długie lata tkwić będą w sądownictwie, aż ustąpią miejsca bardziej do tego powołanym młodym siłom prawniczym.

JUDEX

WIDZENIE SĘDZI KOLMARSKIEGO

PRZED złożeniem przysięgi cesarzowi Wilhelmowi Dollinger, skromny sędzia trybunału w Kolmarze był najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Gdy wchodził na salę posiedzeń w birecie na bakier, brzuchaty, z dolną wargą podobną do płatka róży, z trzema podbródkami spiętrzonemi ponad muślinowym krawatem, przybierał taką minę, jaką się robi myśląc:

— „Utniemy sobie porządną drzemkę!“

Przyjemnie było spojrzeć na tłuste nóżki, które wyciągał daleko, sadowiąc się w fotelu z okrągłą ceratową poduszką, chłodną i miękką. Poduszce tej zawdzięczał — po trzydziestu latach urzędowania — pogodę ducha i czerstwość cery.

Nieszczęsny Dollinger!

Ów ceratowy krążek stał się właśnie przyczyną jego zguby. Taka była wygodna ta poduszeczka, tak mu się dobrze na niej siedziało, że wolał zostać prusakiem, niż się jej wyrzec.

Cesarz Wilhelm rzekł:

— „Siedź pan, siedź, panie Dollinger!“ — no i Dollinger nie ruszył się z miejsca. Dosłużył się tytułu radcy trybunału, ferując w Kolmarze wyroki w imieniu berlińskiej mości.

Nic się wokół niego nie zmieniło. Sąd jest po dawnemu brudny i nudny. Wyświechtane ławki i gołe ściany przypominają klasę szkolną. Po staremu adwokaci brzęczą tam jak muchy, firanki w wysokich oknach przepuszczają mało światła, zakurzony Chrystus na krucyfiksie rozpościera ramiona i zwiesza głowę. Dostawszy się pod władzę pruską, trybunał Kolmarski nie uronił nic z dawnego dostojeństwa: w głębi sali widnieje i teraz popiersie cesarza. Ale cóż z tego! Dollinger pomi-

mo wszystko czuje się nieswojo. Choć kręci się i wierci na fotelu nie drzemie już tak przyjemnie, jak bywało dawniej. Bo jeśli nawet przypadkiem zdarzy mu się niekiedy podczas posiedzenia zapaść w drzemkę — wówczas nawiedzają go przeraźliwe zmory.

Dollinger śni, że się znajduje na szczycie wysokiej góry. Siedzi samotnie na swym stolcu, przybrany w togę sędziowską, i nie widzi nic prócz karłowatych drzewek, nad któremi krążą roje muszek. Po co tam siedzi? Nie ma pojęcia. Oczekuje na coś, drżąc na całem ciele, oblany zimnym potem, pełen trwogi, dręczony przez koszmary. Po przeciwnej stronie Renu wschodzi słońce. Ogromne. Czerwone. W miarę jak się wznosi ponad sosnami Czarnego Lasu słychać coraz głośniej w dolinach Thannu i Monasteru turkot kół i kroki ciągnących pieszo tłumów. Odgłosy te zbliżają się i potężnieją. Rozbrzmiewa niemi cała Alzacja. Dollingerowi ściska się serce. Na drodze wijącej się ślimakowato po zboczach wzgórz sędzia kolmarski spostrzega pochód posępny: cała ludność Alzacji ciągnie na wygnanie przez ten właśnie przesmyk.

Przodem suną długie wozy, każdy zaprzężony w cztery woły. Wozy chłopskie, drabiniaste, takie jakiemi podczas żniw zwozi się zboże do stodół. Naładowane są teraz sprzętami gospodarskiemi, wszelakim statkiem, narzędziami i przyodziewkiem. Sterczą na nich łóżka, szafy, skrzynie, niecki, kołowrotki, wysokie stołki dziecinne, fotele starców i t. d. Wszystkie te relikwie powyciągano z kątów, w których stały od czasów niepamiętnych i spiętrzono w bezładne kupy. Wiatr zwiewa z nich kurz i popiół ognisk domowych. Każdy wóz dźwiga zawartość całego domu. Nic dziwnego, że suną pomału, skrzypiąc i jakby stękając. Woły ciągną je z trudem. Ziemia czepia się kół. Grudki gleby zaschłej na bronach, pługach, łopatach i grabiach ciężą tak bardzo, że podróż zamienia się w istny karczunek.

Za wozami tłoczy się ciżba milcząca ludzi różnego wieku, ze wszystkich stanów. Są tam starcy w trójrożnych kapeluszach, wspierający się laskami. Są jasnowłosi malcy, z główkami kędzierzawemi, poubierani w porteczki z pojedyńczemi szelkami. Dorodni młodzieńcy dźwigają na ramionach babki-staruszki sparaliżowane. Matki niosą u piersi niemowlęta. Są ludzie zdrowi i kaleki. Są przyszłoroczni rekruci i są weterani strasznej wojny. Widać b. kirasjerów z poamputowanemi członkami, wlokących się o kulach. Widać artylerzystów wynędzniałych, w mundurach splamionych pleśnią lochów spandawskich. Wszystko to dumnie kroczy gościńcem przy którym siedzi sędzia z Kolmaru. Każdy zaś na jego widok odwraca głowę z gniewem i wstrętem.

Nieszczęsny Dollinger!

Chciałby schować się i uciec. Niestety nie może. Fotel jego wrósł w górę, ceratowa poduszka wrosła w fotel, on zaś sam przyrósł do ceratowej poduszki. Siedzi jak pod pręgierzem i wszyscy widzą jego hańbę.

Posępny pochód trwa ciągle. Przeciąga wioska za wioską. Górale z nad granicy szwajcarskiej pędzą stada bydła. Górnicy z zagłębia Saary przewożą swój dobytek w wózkach węglowych. Za wsiami ciągną miasteczka. Robotnicy przędzalń, tkacze, rzemieślnicy, mieszczanie, księża, rabini, urzędnicy, sądownicy w togach czarnych i w togach czerwonych. Nadciąga trybunał kolmarski z sędziwym prezesem na czele. Dollinger, umierając ze wstydu, chce zakryć twarz, ale ręce ma sparaliżowane. Chce zamknąć oczy, ale powieki odmawiają mu posłuszeństwa. Musi patrzeć i musi być widzianym. Musi czuć na sobie wszystkie spojrzenia, któremi go przechodzący kamienują.

Być sędzią i siedzieć pod pręgierzem, to rzecz doprawdy okropna. Ale okropniejszy jest jeszcze fakt, iż nikt z przechodzących go niepoznaje, chociaż pełno w tłumie twarzy znajomych. Przechodzi jego żona, przechodzą jego dzieci, ze spuszczonemi głowami, rumieniąc się ze wstydu. Najmłodszy synek Michałek, dziecko najukochańsze, przeszedł nie spojrzawszy wcale na ojca.

Jeden tylko prezes trybunału przystanął na chwilę i mówi zcicha:

— Chodź z nami Dollinger. Nie zostawaj tutaj.

Ale Dollinger nie może ruszyć się z miejsca. Rzuca się na fotelu, wzywa przyjaciół. Napróżno.

Pochód trwa godzinami, a gdy się wreszcie kończy o zachodzie słońca, w dolinach pełnych fabryk i dzwonnic zapada cisza. Cała Alzacja opustoszała. Został w niej tylko sędzia z Kolmaru. Siedzi pod pręgierzem — niewzruszalny.

Nagle dekoracia się zmienia. Iwy, czarne krzyże, szeregi grobów, orszak ludzi w żałobie. To cmentarz kolmarski. Właśnie odbywa się jakiś pogrzeb. Dźwięczą dzwony w całem mieście. To pogrzeb sędzi Dollingera. Poczucie honoru nie było w stanie odśrubować go od sędziowskiego stolca. Podjęła się tego śmierć. Odśrubowała go od ceratowej poduszki i oto sądownik „nienaruszalny“, który upierał się, że będzie siedzieć — leży jak długi.

Nie może być chyba okropniejszego snu, jak sen o własnym pogrzebie. Dollinger opłakuje sam siebie. Doprowadza go do rozpaczy ot, że nad grobem nie widzi nikogo ze znajomych. Sami prusacy! Oddział żołnierzy niemieckich eskortuje trumnę, sądownicy pruscy kroczą za nią, mowy żałobne są wygłaszane po niemiecku. Nawet ziemia, która pada na trumnę — to pruska ziemia.

Nagle tłum rozstępuje się z uszanowaniem. Wspaniały biały kirasjer, otulony płaszczem zbliża się do grobu. Ukrywa pod połą coś podobnego do wianka z nieśmiertelników.

Słychać szepty:

— Bismark... książę Bismark.

Sędzia kolmarski myśli ze smutkiem:

— Wielki to dla mnie zaszczyt wasza ekscelencjo, ale czemuż tu nie ma mojego Michałka...

Myśl tę przerywa mu wybuch śmiechu. Dzikiego. Okrutnego.

— Co się stało? — zapytuje sędzia kolmarski ze zdumieniem. Siada w trumnie i widzi, że pan von Bismark składa z nabożeństwem na jego grobie zamiast wieńca — okrągłą ceratową poduszkę.

Widnieje na niej nadpis:

NIEODŻAŁOWANEMU SĘDZIEMU
DOLLINGEROWI, OZDOBIE
STOLCA TRYBUNALSKIEGO.

Cały cmentarz zanosi się od śmiechu. Prusacy ryczą w niebogłosy, a nieboszczyk płacze ze wstydu, ośmieszony na wieki wieków.

ALFONS DAUDET

NA WIDOWNI

Sprawa Polaków w Niemczech przed Radą Ligi. — Czy słuszne odczucie. — „Mniejszości“, które we własnem państwie są większości i „mniejszość“ wyjątkowa. — Dla potrzeb tej wyjątkowej „mniejszości“ przykrajano „traktaty mniejszościowe“.

DNIA 13 b. m. Polska Agencja Telegraficzna rozesłała depeszę z Genewy, donoszącą:

„Rada Ligi Narodów rozpatrzyła dziś petycje mniejszości polskiej w Niemczech...

Sprawozdawca Rady, ambasador Nagaoka (Japonja) przedstawił Radzie raport, w którym streszcza petycje i uwagi rządu niemieckiego, a następnie stwierdza, że przeszło połowa wypadków, cytowanych przez petycje, wydarzyła się poza terytorjum, do którego stosuje się konwencja górnośląska, stanowiąca jedyną podstawę dla kompetencji Rady. R a d a j e s t w i ę c n i e k o m p e t e n t n a i m u s i w y ł ą c z y ć t e w y p a d k i...“

Sprawozdanie to raz jeszcze uprzytomnia znany i przykry dla nas stan faktyczny: Polska, wbrew frazesom „mocarstwowym“, w dalszym ciągu na podstawie „traktatu o mniejszościach“, poddana jest kontroli międzynarodowej w zakresie stosunku swego do własnych obywateli, należących „do mniejszości etnicznych, religijnych lub językowych“; Niemcy, które przegrały wojnę, a w okresie przedwojennym i wojennym zaznaczyły się szczególną wobec ludności obcoplemiennej bezwzględnością, podobnemu skrępowaniu nie ulegają i (z wyjątkiem części Górnego Śląska, utrzymanej przez Niemcy po plebiscycie, gdzie na podstawie konwencji polsko-niemieckiej, zawartej w r. 1922 w Genewie, panuje zasada wzajemności) Liga Narodów jest „niekompetentna“, jeżeli chodzi o krzywdy, Polakom-obywatelom niemieckim wyrządzane. Zaiste, nie łatwa jest w takich wypadkach rola korespondentów dziennikarskich, którzy telegramy z Genewy dla pism polskich przyzwyczajeni są zawsze formułować w tonie oficjalnie — trjumfującym...

Nie o to jednakże chodzi. Stan rzeczy, którego wyrazem jest wspomniany wyżej raport ambasadora Nagaoka, nasuwa refleksje poważniejsze i bardziej zasadnicze. Polska opinja publiczna uświadamia sobie całkiem wyraźnie, iż narzucony nam „traktat o mniejszościach“, pozwalający czynnikom międzynarodowym wtrącać się w wewnętrzne sprawy naszego życia państwowego, jest dla Rzplitej krzywdzący, niesprawiedliwy, godzący w przyrodzone prawo narodu-gospodarza we własnem swojem państwie. Z drugiej strony opinja ta odczuwa instynktowo, lecz nie mniej pewnie, iż los Polaków w Niemczech nie jest jedynie i wyłącznie sprawą Państwa Niemieckiego, że — w pewnych okolicznościach przynajmniej — Polska ma prawo, ma nawet obowiązek nie pozostawać tu w postawie biernej całkowicie i obojętnej. Czy powyższe dwa odczucia są bezwzględnie nie do pogodzenia ze stanowiska logiki, czy są one wyrazem t. zw. „moralności murzyńskiej“, w tym wypadku: elementarnego egoizmu zbiorowego, zgóry zrzekającego się wszelkiego przedmiotowego uzasadnienia? Może warto będzie skreślić kilka uwag ogólnych, usiłujących, choćby tylko w sposób najbardziej fragmentaryczny przyczynić się do oświetlenia tych niezmiernie złożonych zagadnień.

Naród jest jednością cywilizacyjną, związkiem moralnym, nie zrywającym się bynajmniej wskutek braku wspólnej przynależności państwowej. Jest naturalne, że naród, państwowo zorganizowany, usiłuje otoczyć opieką także tych swoich członków, którzy są obywatelami państw innych. Gdy, jak często bywa w krajach sąsiedzkich, w okręgach pogranicznych po obu stronach ludność jest pod względem narodowym mieszana, daje to okazję do zawierania umów na zasadzie wzajemności, zapewniających odnośnym „mniejszościom“ swobodne pielęgnowanie swoistych cech ich narodowej kultury. W każdym razie odmienna zupełnie jest pozycja moralna państwa, broniącego interesów „mniejszości“ pobratymczej, mogącego powołać się na wspólność krwi, wspólność cywilizacji, aniżeli państwa, bezceremonjalnie narzucającego się w roli arbitra, chcącego wtrącać się w wewnętrzne stosunki między obcemi mu grupami ludności, zajmować się cudzemi sprawami w cudzym kraju. Zrozumiałe jest więc naprzykład, jeśli Czechosłowacja (w formie i w granicach właściwych) zainteresuje się życiem kolonistów czeskich na Wołyniu, choć są oni obywatelami polskimi, podobnie jak Polska nie jest przecież obojętna wobec losu Polaków w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, na Śpiszu czy na Orawie. Mniej atoli jest zrozumiałe, gdy — jak to zdarzyło się w dniach ostatnich — piętnastu członków Izby Gmin wystąpi z inicjatywą, zmierzającą do interwencji Anglji dla uregulowania wewnętrznych stosunków polsko-ruskich we Wschodniej Małopolsce. Skądże takie prawo moralne Anglików do pilnowania „sprawiedliwości“ na terenach, bogatych w ropę naftową? Czyżby to wielowiekowe tradycje polityki względem Irlandji napawały ich tą niezachwianą pewnością siebie?

Ujęciu w ten sposób sprawy można zarzucić, iż zapewnia ono ochronę tylko tych „mniejszości“, które w swoich państwach są większością, i z tej racji, ze strony tych państw mogą liczyć na niejaką pomoc i opiekę. Czy jednakże jest to istotnie „zarzutem“? „Traktaty o mniejszościach“ z r. 1919 układane były według pomysłu i pod naciskiem żydów, a więc tej wyjątkowej, jedynej w swoim rodzaju „mniejszości“, która nigdzie w świecie nie jest w i ę k s z o ś c i ą, nawet w swej t. zw. „siedzibie narodowej“ w Palestynie. Zasady ogólne tych traktatów sformułowano w sposób, interesami tej właśnie „mniejszości“ żydowskiej podyktowany, a przez państwa, którym je narzucono, przyjęty z największą niechęcią i — jak trzynastoletnie doświadczenie wskazuje — istotnie dający powody do ustawicznych trudności i zatargów. Możnaby zaś przytoczyć szereg względów, wskazujących, iż rozwiązanie zagadnienia oprzeć należy na odmiennej zupełnie podstawie.

Przedewszystkiem „mniejszości“, należące do narodu, posiadającego własne państwo, nawet walcząc o swoje prawa w państwie cudzem, nie będą skłonne czynić tego w sposób, podkopujący i d e ę p a ń s t w a w o g ó l n o ś c i. Nie będą w walce tej używały argumentów, które musiałyby obrócić się także przeciw państwu ich narodu, w szczególności nie będą głosić zasad anarchicznych, ani podważać samej idei suwerenności państw, stanęłyby bowiem w intelektualnej i uczuciowej sprzeczności z głównym trzonem swego narodu, z którym jedność moralną pragną zachować. „Mniejszość“, która nigdzie nie jest większością, nie krępuje się żadnemi podobnemi względami. Może ona anarchizować państwo od wewnątrz, dążyć do zniszczenia jego udzielności przez poddanie go kontroli ciał między-

narodowych, może w tendencjach tych dochodzić do ostatecznych skrajności, jest bowiem moralnie całkowicie nieodpowiedzialna, nie istnieje na kuli ziemskiej państwo jej narodu, które za politykę tę musiałoby ze swej strony płacić rachunek.

Co więcej, w normalnym układzie stosunków, „mniejszość", należąca do narodu, posiadającego własne państwo, zwykle unika wogóle tego rodzaju wystąpień, któreby państwo to narażały na zatargi międzynarodowe, utrudniały mu współżycie z innemi mocarstwami.

Co zaś również winno być wzięte pod uwagę, „mniejszość" taka z reguły bardziej ograniczone wysuwa pretensje i żądania. Naród, we własnem państwie mający pole do rozwinięcia twórczości w zakresie politycznym, jako „mniejszość" na obczyźnie zadowala się zwykle zachowaniem swego języka i kultury, lojalnie nie przeszkadzajac narodowi-gospodarzowi w urządzaniu jego życia państwowego zgodnie z jego wolą. „Mniejszość", która nigdzie nie jest większością, chce dać ujście swym ambicjom politycznym wszędzie, w każdem państwie stara się uzyskać udział w rządach, naginać do swych idej i interesów: ustrój państwa, całe jego życie gospodarcze, społeczne i td. Właśnie dlatego, że „traktaty o mniejszościach" układane były z natchnienia żydowskiego, zawierają one nietylko zabezpieczenie kulturalnych, językowych itd. odrębności grup „mniejszościowych", lecz przedewszystkiem gwarantowany międzynarodowo ich wpływ na ogólny bieg polityki i władzę w państwach, którym te umowy narzucono. Wszak art. 11 traktatu z Polską postanawia, że „wybory — czy to ogólne, czy lokalne" nie mogą odbywać się w soboty, ażeby „mniejszość", czcząca szabat, nie miała przypadkiem pomniejszonego wpływu na całokształt politycznych spraw Państwa Polskiego.

To też zniesienie „traktatów o mniejszościach", opartych na zgruntu fałszywych założeniach, nie jest jeszcze bynajmniej równoznaczne z jakimś zupełnem usunięciem idei ochrony mniejszości z prawa narodów.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

CZASEM DO USZU DOLECI GŁOS Z NIZIN KULTURALNYCH, których istnienia nawet nie podejrzewamy. Niespodziankę taką sprawił artykuł p. Wicentego Rzymowskiego, drukowany przed kilku dniami w „Expressie Porannym" (z dn. 9 b. m.) pod tytułem „Madonna czy Niewolnica? Dziennik Marji Janowej Kasprowiczowej". Trudno było przypuszczać, że znajdzie się krytyk, nie umiejący zrozumieć istoty dokumentu ludzkiego, którego wartością jest przedewszystkiem p r a w d a. Obrażać się o to, że autorką dokumentu jest Rosjanka, że w dzienniku wyraziły się także pierwiastki duszy rosyjskiej — to postawa zadziwiająca. Niemniej dziwna, w odniesieniu do dziennika, jest metoda łapania przyznań — jakby w trybie sądowej procedury cywilnej. Gdy autorka np. mówi: „Ach jakaż ściana jest czasem pomiędzy nami..."— to nie jest lojalny, ów logiczny pozornie komentarz recenzenta: „Istotnie twarda, nieprzenikniona ściana..." Wyznania w dzienniku nie mogą być mierzone miarą logiki formalnej, ani ocenianie podług pozornych sprzeczności. Jeśli odbijają w sobie cząstki życia, składają się na coś ostatecznie — tajemniczego. Chwytanie za słowa metodą „adwokacką" źle świadczy bądź o inteligencji, bądź o intencjach krytyka, który tak łapie tajemnicę... Coś innego w artykule p. Rzymowskiego wywołuje jeszcze silniejsze wrażenie niesmaku. Główne oskarżenie, które podnosi przeciw autorce „Dziennika" — sanacyjny pisarz, to rzekoma jej „tęsknota" do bata... W tem ma się wyrazić nieznany nam egzotyzm, cała przepastna odrębność duszy rosyjskiej. Mniejsza o to, że oskarżenie to jest jednym z przykładów nielojalności interpretacyjnej, o której wyżej mówiliśmy. Chodzi o coś innego. Szczytem już chyba obłudy u publicysty sanacyjnego — jest poniewierka batem. „Bat", jak wiemy z autorytatywnego i nie gołosłownego oświadczenia marsz. Piłsudskiego, na pamiętnej „herbatce", symbolizuje metody „sanacji moralnej" w Polsce. Metodą, nie programem charakteryzuje się *régime* obecny. Nie można należeć do sanacyjnego obozu i jednocześnie popisywać się swoją pogardą dla bata. Na to trzeba być w innym obozie. Co powiedzieć o publicyście, który czci bat, jako symbol załatwienia wszystkich spraw codziennych we własnem państwie — a gardzi nim popisowo tylko, wobec autorki, którą uważa za Rosjankę? — w tym jednym wypadku pamięta o dumie narodowej? Jak pokornie publicysta sanacyjny powinien znieważony bat przeprosić! I jak głos taki uprzytomnia niziny, na jakie się chwilowo obsunęliśmy.

OSTATNIA KEOFUZJA BOYA MIAŁA SWOJĄ WARTOŚĆ pedagogiczą dla świadków tej przygody. Czasy nasze uczą specjalnej chytrości, a Boy, dobrze zestrojony ze współczesnością, wiadomo, nie da się nikomu przechytrzyć. Wysłuchawszy rozmowy Haraburdy z carem Iwanem w teatrze Narodowym, zwietrzył pismo nosem, i postanowił „odełgać" Tołstoja. Napisał więc w recenzji:

„Wolny przekład p. Miłaszewskiego gładko zrymował biały wiersz oryginału, ale w czem okazał się może zbyt „wolny", to w potraktowanie roli Haraburdy, posła Stefan Batorego do Iwana Groźnego. Scena ta została, zdaje się, z gruntu przerobiona, aby ukontentować naszę ambicję narodową. Pan Haraburda zachowuje się mniejwięcej tak, jak Skrzetuski, posłujący do Chmielnickiego, tylko bardziej agresywnie. Nagadał Iwanowi impertynencyj i wyszedł dumnie. Użył sobie na carze groźnym. W oryginale rola Haraburdy jest znacznie skromniejsza".

Otóż nie. Dzinnik „ABC" zestawił tekst dosłony Tołstoja z wersją Miłaszewskiego — i przekład okazał się zadziwiająco wierny. Nie w tem rzecz jednak, że Boy napisał nieprawdę. „Odełgiwał" Tołstoja, nie znając — ale „intuicyjnie" odgadując. To właśnie najciekawsze, dokąd domyślność zaprowadziła krytyka. Wydało mu się najpierw nieprawdopodobne, aby pisarz obcy, Rosjanin, mógł do Polaków, jako przeciwnika, odnosić się z pełną lojalnością, rycersko! Dalej uznał za naturalne, że tłumacz zechce sfałszować oryginał gwoli podchlebieniu ambicji narodowej. Tem właśnie rachunek prawdopodobieństwa kazał mu „odełgać" Tołstoja kategorycznie i bez wahania.

Wsypa, jak powiedzieliśmy, jest nie bez korzyści pedagogicznej dla ogółu: unaocznia, jak (odruchowo) funkcjonują umysły, ogładzone w dzisiej-

szej szkole życia publicznego, gdy takiemu siakiemu lojalność wydaje się już bezwzględnem nieprawdopodobieństwem... a potem Rosjanin zawstydza... Proponujemy, aby za karę Boy przestał zarozumiale używać tytułu „błazna". Ten urząd publiczny ma w Polsce zbyt duże tradycje. Nie godzien piastować go ten, kto myli się tak niedowcipnie. Powinien być zdegradowany...

NAUKA I LITERATURA

POLSKA KSIĄŻKA O SOWIETACH

W KRAJACH Europy Zachodniej ukazał się w ciągu la ostatnich długi szereg książek o Rosji sowieckiej a wśród nich rzeczy bardzo dobre. U nas natomiast zaledwie kilka książek i nieco broszur. W tych warunkach wypada zwrócić uwagę czytającego ogółu na rzecz inż. Tadeusza Błeszyńskiego p. t. „Więcej prawdy o Sowietach" [1])

Inżynier Błeszyński spędził około dwóch lat (1931/32) w Rosji, przyglądał się uważnie temu, co się tam dzieje, spisał swoje bezpośrednie wrażenia i opisał porobione doświadczenia. Zajmuje się wszystkiemi dziedzinami życia, dostępnemi dla obserwatora, a że umie pisać w sposób barwny i żywy, więc czyta się jego książkę z zaciekawieniem.

Wnioski natury ogólnej trudno z niej wysnuć, bo autor jest bardzo ostrożny, opisuje raczej, a nie sądzi. Trudno też po jej przeczytaniu odpowiedzieć na szereg pytań zasadniczych, które sobie ludzie stawiają w Polsce, jak np. na pytanie, jaka będzie przyszłość bolszewizmu i Rosji. W każdym bądź razie pozbędzie się czytelnik książki inż. Błeszyńskiego całego szeregu fałszywych wyobrażeń i poglądów, będzie innem okiem patrzył na rzeczywistość rosyjską, a to dlatego, że — jak nam się wydaje — autor spogląda na tą rzeczywistość z właściwego punktu widzenia.

Najczęściej myślą ludzie u nas o bolszewizmie, jako o jakimś potwornym obłędzie, który długo trwać nie może, musi się nagle skończyć, a wówczas Rosja powróci do stanu dawnego, upodobni się do reszty Europy. Tymczasem nie jest bolszewizm zjawiskiem tak prostem. Na stan, w jakim dziś się znajduje Rosja, złożył się cały szereg czynników. Jednym tylko z tych czynników jest doktryna komunistyczna. Poza nią i obok niej działają wszystkie te siły, które urobiły Rosję i naród rosyjski i które działają nieprzerwanie. Pomyślmy tylko, że ta sama doktryna komunistyczna, gdyby doszła do wpływu u nas, lub w jakimkolwiek kraju zachodnio-europejskim, dałaby zupełnie inne wyniki, niż dała w Rosji. Jeśli to potrafimy sobie wyobrazić, to zdamy sobie sprawę z tego, o co nam chodzi, gdy stawiamy twierdzenie powyższe.

Bolszewizm posiada pełnię władzy, wierzy w możność kierowania narodem w najdrobniejszych szczegółach. Mimo to nie może przemódz tych tendencyj rozwojowych, jakie tkwią w życiu rosyjskiem. Jest też tylko — jak powiedzieliśmy — jednym z czynników, obok geografji, historji, rasy i t. d., Zapewne, zorjentowanie się w tem wszystkiem wymaga pewnego wysiłku myśli, trzeba bowiem ciągle poza konwencjonalnemi nazwami, poza banalnemi określeniami szukać życia realnego i umieć dostrzedz jego różnolitość i swoistość.

Jeśli zaś zdobędziemy się na ten wysiłek, wówczas przekonamy się, że obok tych wszystkich przejawów, które są następstwem dążeń do nagięcia życia do ram błędnej doktryny, są inne, które świadczą o tem, że Rosja rośnie i rozwija się, iż dokonywa się w łonie narodu rosyjskiego głębokie przeobrażenie, że to, co było, już wrócić nie może, że nawet w razie odstąpienia od doktryny komunistycznej zachowa Rosja wiele z tego, co się tam w ciągu ostatnich lat wytworzyło. Jeden okres w historji Rosji jest już zamknięty na zawsze. Nie pierwszyzna to w tym kraju, bo trudno doprawdy powiedzieć, czy przewrót bolszewicki jest głębszy od tego, jaki się dokonał za sprawą Piotra Wielkiego. Okres europeizacji, rozpoczęty przez wielkiego cara, skończył się. Jednem z następstw zapanowania bolszewizmu jest zwrot Rosji ku Azji, oraz wydostanie się na powierzchnię sił, idących z najgłębszych pokładów duszy rosyjskiej.

Przeobrażenie wewnętrzne oraz gwałtowna industrjalizacja pochłaniają Rosję całkowicie. Wskutek tego jest ona zmuszona do bierności na terenie międzynarodowym. Lecz stan ten jest niewątpliwie przejściowy. Doktryna będzie się musiała ugiąć przed wymogami życia, przemiany będą postępowały, po latach tylu a tylu zjawi się nowa Rosja na terenie międzynarodowym. Otóż chodzi o to, by przewidzieć: jakie nam okaże oblicze i jakiemi będzie rozporządzała siłami? By módz to uczynić, trzeba dziś uważnie się przyglądać temu, co się w Rosji dzieje, odrzucając na bok wszelkie uprzedzenia i zgóry powzięte poglądy, doszukując się natomiast sił realnie działających.

Tak robi inż. Błeszyński i dlatego powiedzieliśmy, że patrzy na Rosję z właściwego punktu widzenia. Jest Polakiem i człowiekiem kultury zachodniej, to narzuca mu oczywiście określone stanowisko, daje kryterja, które nam wszystkim są wspólne. Lecz nie przeszkadza mu rozumieć tego, jak dalece Rosja różniła się zawsze i różni dzisiaj od świata zachodniego i dostrzegać istotę wydarzeń, a nie tylko ich wygląd zewnętrzny.

Jesteśmy sąsiadami Rosji, obowiązkiem przeto naszym jest znać ją dobrze. Potrzebne są książki, oparte na szczegółowych i metodycznych studjach, zajmujące się poszczególnemi dziedzinami życia rosyjskiego. Produkowanie jednak takich książek nie jest łatwe i szybkie. Zanim się ukażą, przejdą jeszcze miesiące i lata. Tymczasem z pożytkiem weźmie każdy do ręki bezpretensjonalne wrażenia inż. Błeszyńskiego, przeczyta je z zaciekawieniem i dowie się wielu rzeczy. VIATOR

[1]) Nakład F. K. Spółki Wydawniczej Warszawskiej M. Niklewicz, J. Załuska i S-ka, Warszawa 1933, str. 250.

POEZJE PRZEWÓSKIEJ

Znana w szeregach poetek pod pseudonimem Helji' Marja Czesława Przewóska zebrała w pewną całość utwory swoje i wydała je teraz w pokaźnym tomie po tytułem *„Sursum corda"*. Obok utworów, pisanych po wojnie, znalazły się tutaj wiersze dawniejsze, które, jak objaśnia autorka w przedmowie, mają „poufny charakter zwierzeń duszy, rwącej się *ad astra* idealistycznych ustosunkowań życia". Przeważa w nich nuta filozoficzna, strojona wysoko uczuciowością. „Filozofizm lutni poetyckiej — mówi o sobie poetka— ma swe źródło rodzajne w psychice autora-twórcy, w braniu rzeczy od głębi, w sięganiu tam, gdzie wzrok nie sięga, a dusza widzi jaśniej. niż oczy, nienawykłe do oglądania Wyży. widzą i widzieć mogą. Utwory nowe *„Pro Patria"* powstały ostatnio z głębokich wstrząsów Wielkiej Wojny i narodzin Polski Zmartwychwstałej".

Umyślnie posiłknjemy się słowami autorki, aby dać poznać styl, jaki jej myślom i słowu nadaje swoisty rodzaj wzruszeń. Są tu zawsze rzeczy górne; autorka mówi tylko o rzeczach wielkich, które kształtów ziemskich nie mają; operuje ideami, które mają swoje symbole w słowach ważkich swem namaszczeniem uroczystem; dla niej każde takie słowo — to byt realny, budzący w niej sensację uczuciowej natury. Oczywiście taki słownik rzeczy bezcielesnych mało wydziela z siebie plastyki, tego rodzaju obrazami myślowemi porozumiewać się można tylko z odbiorcami, uduchowionymi w ten sam sposób, a takich jest niewielu. Stąd gorycz poetki, wyrażona w przedmowie, że poezje jej „niewielu bodaj nastrajać mogły na ton wspólności kamertonu natchnień twórczych". „Tragizm — dodaje — stary jak świat: zmagania się ideału z życiem, przebolesny w piersiach obdarzonych nadwrażliwością organizacyj poetyckich skrzydlatego rodu".

Losem tego typu wysoko nastrojonych dusz, zwłaszcza w sztuce, musi być samotność, mało bowiem na swych drogach spotykają wędrowców, a ludzie na ziemi domagają się

od sztuki plastyki i konkretów, na których spocząćby mogła wyobraźnia. Gdy Przewóska mówi o Polsce, która przecież jest czemś realnem, widzenie jej jest bezcielesne, czysto idewe. Oto przykład:

„Z ducha polskiego idące natchnienia
Kiedyś dzień wzniecą, wśród chaosu nocy.
Dziś jeszcze Polska ich nie wypromienia,
Skłócona z sobą na drodze Cierpienia,
Nie władna Krzyżem z cudu własnych mocy".

Ale nietylko w takim temacie; gdy mowa o miłości dwojga serc, poetka krąży nad niemi z wysoka i serca zamieniają się w idee:

„Dzieją się rzeczy wielkie na wszechbytu kręgach,
Gdy duch tu przewodniczy serc dwojgu na straży,
Wśród Miłości uroków czujnie gospodarzy,
Sięgając tam, gdzie zmysłów skończoność nie sięga".

Tonacją i hasłem poezji Przewóskiej jest nakaz *Sursum Corda*! To jest jedyna rzecz uchwytna psychologicznie: nastrój ekstatyczny. Cały jej tom streszcza się w tym tytule. Treść obrazów poetyckich wybiega poza psychologję i świat przedmiotowy.

„W górę harfy! Niech popłynie
W niebiosa pieśń nowa!
Serca w górę. Niechaj pieśni
Wtórzy — bogów mowa!
Na wyżynach naszej myśli
Duch - król prawa swoje kreśli,
Zaklina je w słowa".

Nawet „harfa", jak widzimy, nie użyta jest tu rzeczowo; konkretnej harfy w górę nikt nie wzniesie. Tak dalece samo podnoszenie serca, ten pierwiastek czysto subjektywny, sam w sobie staje się poetce wystarczający, tyle jej daje rozkoszy poetyckiej, że owa myśl na wyżynach Króla - Ducha nigdy nie jest nazwana według swej treści. Brak treści myślanej przy zupełnem odczynieniu obrazów z plastyki zmysłowej czyni poezję Przewóskiej podobną do melodji bez słów:

„O, bo nie słów nam, lecz uczuć potrzeba,
By się do wyższych tchnień przedostać nieba". (120)

Melodja duszy dawno słyszana i zwracająca na siebie uwagę stylem mesjanistycznym. Poezje Przewóskiej istotnie są ciekawym dokumentem literackim. Jest to postawa uczuciowa poetów emigracyjnych ze środka XIX w., która się udzieliła od Krasińskiego entuzjazmowi następnych pokoleń. Nazwaćby można ten stan „zachwyceniem" w znaczeniu, jakie temu słowu nadawał Norwid. To poczucie, że dusza się wyrwała, aby zbadać tajemnice nieba, nadawało pojęciom abstrakcyjnym wagę i brzmienie żywego słowa. Wiele w duchu czasów wielokrotnie się zmieniło, ale Przewóska została wierna tej postawie. Studja nad Krasińskim utrwalają w niej potrzebę uczuciową szukania obrazów metafizycznych w „Słowie" dawnej poezji, które dla niej ma zawsze tą samą moc czarodziejską odradzania życia. W tem subjektywizmie idealistycznym Przewóskiej tkwi pierwiastek czynu. Dla Przewóskiej słowo jest czynem, poezja jej brzmi hasłem bojowem, tem też się tłumaczy publicystyczny charakter jej poezji.

Literatura bieżąca mieni się na swej fali barwami różnych czasów, między niemi motyw mesjaniczny reprezentuje Przewóska. Miejsce, jakie zajmuje poetka w literaturze, trafnie określają szkice literackie Józefa Kotarbińskiego (1925) i Zdzisława Dębickiego (1924), zamieszczone na czele zbiorku. Ich głos z za grobu, świadczący o uznaniu, jakie mieli dla entuzjastki, obowiązuje do liczenia się z dorobkiem poetyckim jej czystego i wzniosłego idealizmu.

W.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Po zapoznaniu się z książką dwu profesorów Uniwersytetu J. Kazimierza pp.: Gaertnera i Łempickiego p. t. „Służ Państwu" (Lwów. Jakubowski. 1932, str. 503), przeznaczoną jako wypisy z jęz. polskiego dla IV klasy gimnazjum, przypomniała się nam opowiastka Anatola France'a tej treści (tytułu nie pamiętamy):

Pewien pobożny mieszczanin (rzecz dzieje się w średniowieczu) w trwodze o wierność swej żony, uprosił wymownego Dominikanina, by ten w szeregu nauk utwierdził ją w cnocie. Opornie szła nauka, ale nareszcie razu pewnego efekt był wstrząsający. Oto gdy Dominikanin dobył z zanadrza trupią czaszkę i przekonywająco mówił o niechybnej śmierci każdego z nas, wyciągając stąd wniosek, że nie o rozkoszach znikomych trzeba myśleć, lecz o nieubłaganym końcu wszelkiego stworzenia, kobieta owa zalała się łzami i łkała, całując mnicha po rękach. Hojnie nagrodzony przez zazdrosnego męża zakonnik odszedł, dumny ze skutków swej wymowy. Aliści rankiem dnia następnego przybiega doń ów kupiec, wołając, że właśnie po kazaniu żona jego uciekła z domu i powróciła dopiero nad ranem, przyznając się, że była u kochanka. Dominikanin śpieszy do grzesznicy i pyta ze zgrozą: „Jakże to! Czyż ciebie nie przekonałem?". „Ależ tak, mój ojcze! Przekonałeś, że trzeba „użyć świata, póki służą lata". *Sapienti sat!*

Dykteryjka ta przypomniała się nam przy wertowaniu książki poważnych profesorów, którzy, jak ów Dominikanin, nie liczą się całkowicie z psychologją młodocianych czytelników, dla których książkę swą przeznaczają, przedewszystkiem zaś z naturalną przekorą, właściwą temu szczególnie wiekowi, która niechybnie się zjawia, gdy się przeciąga strunę. A czyż nie przeciągnięto struny w tej książce, gdzie znajdujemy aż 17 ustępów poświęconych kultowi „tego, który..", oraz 7 jego podobizn? Czyż doprawdy pp. profesorom nie przyszło do głowy, że skutek tej szkolnej lektury musi być wręcz sprzeczny z ich zamierzeniami? I to się robi wtenczas, gdy dwaj czołowi ideologowie „sanacji", Kaden i Boy, uparcie twierdzą, że szkoła przez nadmierny kult gruntownie obrzydziła uczniom takie arcydzieło, jak „Pan Tadeusz". A przecież człowiek rzadko bywa... arcydziełem!

*

Nie wszyscy pisarze ludowi zdobywszy za życia strzechy i opłotki wiejskie, zdobyli po śmierci historję literatury. Zapomniało już ich pokolenie następne, niebaczne zasługi i pracy oświatowej tych literatów pomniejszego rodu, tych Anczyców, tych Kazimierzów Góralczyków; szli w niepamięć. Stłoczonych u progu literatury zastąpili w życiu inni; i byli to już przedstawiciele nowych czasów, a przynajmniej nowych czytelników.

Historja piśmiennictwa niechętnie zatrzymywała się na tym literackim parterze. Wolała iść w górę, piętrami, lekceważąc nieraz niziny, na których przebywa pospolite, proste słowo i chudopacholska, gromadzka myśl literatury ludowej. Lekceważenie to oczywiście niesłuszne. Dla wykresów stanu kulturalnego epoki, dla historji upodobań estetycznych czytelników, wogóle dla dziejów oświaty, szkoły i książki, posiada badanie owej twórczości ludowej wagę znaczną i niewątpliwą. Jest bowiem szczególnie ciekawe śledzenie dróg i sposobów, któremi przenika słowo inteligenckie do warstw, rozbłyskujących niespodziewanie Jakóbami Wojciechowskimi, czy gromadą Kurasiów.

Takie to myśli ogólniejsze nasuwa ogłoszony właśnie w Toruniu szkic monograficzny Tadeusza Pietrykowskiego, oceniający, w 40-ą rocznicę śmierci, życie i zasługę społeczną Franciszka Ksawerego Tuczyńskiego (1844 — 1890), wielkopolskiego pisarza ludowego.

Fr. Tuczyński stanowił niegdyś w literaturze ludowej pozycję wcale znaczną; dziś zapomniano go zgoła. Wśród pisarzów popularnych XIX wieku, narówni z Ignacym Danielewskim, Karolem Miarką i in., jest przecież Tuczyński z uwagi na swą produkcję powieściową i działalność publicystyczną interesującem zjawiskiem społecznem ziem zachodnich.

Wywołując z niepamięci zasłużonego pisarza, sięgnął autor do jedynych źródeł biograficznych: policyjnych akt niemieckich, uzupełnianych i kontrolowanych przechowującą się tu i owdzie tradycją ustną. W sumiennem przedstawieniu monografisty rysuje się ciekawie linja życia Tuczyńskiego, nauczyciela ludowego i dziennikarza, który próbował niejednego zawodu, by wreszcie odnaleźć się całkowicie w literaturze.

Twórczość Tuczyńskiego — różnorodną w treści i środkach wypowiedzi — przybierającą kolejno formy powieści współczesnej, historycznej, egzotycznej, literatury aktualnej i popularno - naukowej, klasyfikuje autor umiejętnie, z pietyzmem dla pisarza i jego dzieł, niezawsze dochowanych. Analiza kształtu literackiego byłaby tu oczywiście zawodna. Przedmiot badań ukazywał raczej drogę inną: oświetlenie momentów społecznych. Dlatego też dłużej zatrzymuje się czytelnika przy ocenie treści i programu ideowego autora „Raciczek". Zdumiewa przytem wykształcenie ogólne tego niemal samouka oraz szeroki zasięg jego zainteresowań: społecznych, historycznych, literackich. Zdumiewa też wielość dokonań Tuczyńskiego: wśród ciężkich warunków życia ta werwa pisarska, nieznużona, humor, niewątpliwa, żywiołowa pasja autorska. Starannie zebrana bibljografja uzupełnia w niejednem Estreichera.

Zasługą Tadeusza Pietrykowskiego jest wprowadzenie do literatury postaci zapomnianej, a żywej i pociągającej.

(T. M.)

*

Wspaniały czyn lotniczy ppor. Żwirki i inż. Wigury, a później ich tragiczna i tak opłakiwana śmierć lotnicza zwróciły powszechną uwagę na lotnictwo polskie, które wy-

trwale pracując dochodzi obecnie do wspaniałych rezultatów. Ostatni numer „Tęczy" tą właśnie stroną lotnictwa się zajmuje w artykule E Sochaczewskiego. Jest to reportaż z warsztatów sekcji lotniczej Politechniki warszawskiej, gdzie w ciszy i bez rozgłosu młodzi polscy inżynierowie i lotnicy budują aparaty o wielkiej doskonałości.

W tym samym numerze pomieszczono wspomnienie znanego pisarza polskiego, Jerzego Bandrowskiego o początkach formowania armji polskiej na Syberji. Wspomnienie to ilustrowane jest rysunkami ucznia znakomitego J. H. Rosena p. L. Stachy. Artykuł znawcy spraw wojskowych J. Staszewskiego p. t. „Nasze granice i ich obrona" opisuje kolejno 9 odcinków granicznych, na których Polska musiałaby się bronić w razie wojny. Uwagi autora, pisane żywo i z wielką znajomością przedmiotu, są aktualne i wchodzące w życie osobiste każdego mieszkańca Polski.

Oprócz tych artykułów przynosi „Tęcza" na 80 stronach wiele materjału i literackiego i ilustracyjnego. Miesięcznik „Tęczę" otrzymać można w księgarniach, kioskach, u kolporterów, albo wprost z administracji, Poznań, Al. Marcinkowskiego 22.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Porównaniu okresu, jaki nastąpił po wojnach napoleońskich, z okresem po wielkiej wojnie światowej, poświęcona jest książka Mc Williams'a: *„Does history repeat itseft?"* (London, Toronto, JM Dent and Sons limited p. 88). Sam temat przedstawia się niezwykle interesująco. Niestety autor potraktował go dość powierzchownie, ograniczając się do wskazania pewnych zewnętrznych podobieństw, a nie wchodząc w samą istotę zagadnienia. W ten sposób napisana, stwarza książka niebezpieczne suggestje, że wiek XX, będzie, poza chwilowym okresem depresji, równie, jak wiek XIX okresem świetnego rozwoju dla ludności. Te suggestje są o tyle niebezpieczne, że w dzisiejszych ciężkich czasach przedewszystkiem jest konieczne spojrzenie śmiało prawdzie w oczy, chociby ta prawda miałaby być bardzo smutna. (J. P.).

*

Jedynie pożyteczną stroną działalności Ligi Narodów jest jej działalność wydawnicza. Nie dlatego, by książki przez nią wydawane odznaczały się oryginalnością i nowością myśli. Trudno się tego spodziewać po instytucji, będącej wyrazem ideałów, schodzących do grobu. Wartością natomiast szeregu wydawnictw Ligi Narodów jest bogactwo materjału statystycznego. Do takich wydawnictwa należą prace, poświęcone studjom nad stosunkami pracodawców i robotników, oparte na zbadaniu na miejscu stosunków, panujących w poszczególnych przedsiębiorstwach. Tom pierwszy tych studjów omawia te stosunki w zakładach Siemensa w Niemczech, w kopalniach węgla w Lens (Francja), w londyńskim koncernie komunikacyjnym, we francuskich kopalnich węgla w Zagłębiu Sarry, wreszcie w zakładach Baty. Książka zawiera dużo cennego materjału, pożytecznego dla każdego, kto się interesuje sprawami robotniczemi. (J. P.)

*

Spotkać się dziś możemy z różnemi metodami leczenia chorego gospodarstwa światowego. Franz Neuhaus, w świeżo wydanej broszurze p. t.: *„Der Kernpunkt der Wirtschaftskrise und die Organisation der Weltwirtschaft"* (Wien und Leipzig, 1932, s. 61) widzi ratunek w skartelizowaniu całości życia gospodarczego w skali światowej, uważając za konieczne zorganizowanie jednego wielkiego trustu pod auspicjami Ligi Narodów. Zwolennicy takiej kartelizacji *à outrance* nie biorą pod uwagę tego, że międzynarodowa kartelizacja staje wpoprzek naturalnym i coraz to silniejszym dążeniom poszczególnych narodów, do najpełniejszego i najswobodniejszego rozwoju. Narody nigdy przecież się nie zgodzą na to, by stać się jedynie mniej lub więcej autonomicznemi prowincjami, administrowanemi przez wszechpotężny trust.

(J. P).

*

Wielka Wojna Narodów wstrząsnęła życiem ludów tak bardzo, że choć już tyle lat ją od nas dzieli, fantazja i myśl autorów doby obecnej wciąż do niej wraca. W literaturze włoskiej współczesnej bardzo wielu pisarzy poświęciło jej swe utwory. Wśród nich niepoślednie miejsce zajmuje Artur Marpicati: Dał on nam już i przedtem luźne opowiadania na temat czasów wojennych, pod ogólnym tytułem *„Coda di Minosse"*, teraz zaś wydał „Portrety i opowiadania z wojny" (*„Ritratti o racconti di guerra"* L. Cappelli Bologna 1932). Są to wspomnienia historyczne o faktach i o ludziach, co naprawdę egzystowali Wspomnienia te drgają życiem. Przed oczami czytelnika przewija się szereg sylwetek bohaterów, mało znanych ogółowi, zapomnianych, tem nie mniej bohaterów w całem znaczeniu tego słowa Z wojny mało kto wychodzi uwieńczony laurem, a jednak jakże wielu nań zasługuje!...

A. Marpicati potrafił wskrzesić piórem swem czyny tych patrjotów, idących o głodzie i o chłodzie zdobywać pozycje, lub... tracić je, choć bronili ich, krwawiąc podrapanem ciałem o kolczaste druty, choć szrapnele muskały ich czoła, i dziurawiły mundury, choć karabiny maszynowe tuż, tuż, jak kastaniety, stukały do taktu, wabiąc w piekielne zawody. Żywe źródło poezji bije z tych opowiadań. Oto *„Epifanta di sole"*: bohaterowie tragicznego epizodu Oslawii, stoją przed nami zmoczeni do nitki, zabłoceni po uszy, toną prawie w błotnistych okopach. Towarzysze broni padają naokół, jak muchy; groza śmierci zewsząd... Walka trwa nieprzerwanie. Ale powodzenie zaczyna przechylać się na ich stronę. Nagle deszcze ustaje i z za chmur wyłania się słońce.

„Tak piękni i silni nie będziemy może już nigdy w życiu!... Może nigdy w życiu promień słońca nie da nam tyle, co dziś, pociechy i szczęścia!"... (E. N.)

*

Wydany w morawskiem Bernie tomik utworów Adolfa Gajdosza *„Pokorné souženi"* (pokorne zmartwienie) zwraca uwagę polskiego czytelnika nietylko swą wysoce artystyczną szatą zewnętrzną, ale i umieszczoną na czele dedykacją: *„bášniku Józ. Aleks. Gałuszkovi"*. Poezje Gałuszki zdobyły sobie w Czechach zdawna znaczne uznanie, czego dowodem są liczne tłumaczenia; książka Gajdosza świadczy, że za uznaniem przyszło i umiłowanie. Jest w tym zbiorze jeden utwór, którego tytuł brzmi w stylu Gałuszki: *„Pokuszeni a usmievy Boha"*. Pokrewieństwo jest i w treści — pokrewieństwo, powtarzam, bynajmniej nie naśladownictwo. W pięknym tym utworze słyszymy zrazu wołanie duszy zbolałej do Boga, hiobowe domaganie się odpowiedzi na zapytanie: *„Kolik jsi żalu, bolesti a ukrutenstvi svázal na bedra czloviekovaᵗ"*. Ale niema tu buntu, jaki wobec Boskiego milczenia słyszymy np. w Mickiewiczowskiej „Improwizacji". Pokora, którą autor zaznaczył w samym tytule książki, nie jest czczym frazesem, ale istotną cechą duszy poety: „Dziękuję Ci, Panie, że nie karzesz mnie za niegodziwe bluźnierstwa; wszak jednem skinieniem Wszechmogącej ręki Tyś mógł mnie skruszyć". Ta pokora daje poecie często radość wielką, daje natchnienie prawdziwe. Natchnienie i radość płynie nietylko ze źródeł religijnych, ale i z umiłowania przyrody. Ich zespół poddaje nutę „Pieśni porannej" (*Jitrzni piseń)*, w której poeta modlitwą wita rozpoczynający się dzień i z gołębicami leci do nóg Stwórcy. Dwa hymny do Matki Boskiej, pełne artystycznej prostoty, kojarzą w sobie ton mistycznej ekstazy z tonem pokutnym — stłumionym jeszcze i ledwie wyraźnym. Ton pokutny (zaznaczony zresztą w wierszu wstępnym „Powrót syna marnotrawnego") odzywa się i w drugiej części zbiorku, gdzie barwne tło utworów ciemnieje zwolna, już nie jasne promienie słońca towarzyszą myślom poety, ale smętek nocy, smętek cmentarza (*„Hrzbitov"*). Te właśnie wiersze głównie tłumaczą tytuł całego zbiorku. Wypadłe z gniazda pisklę, śmierć młodego dziewczątka, zwiędłe kwiaty — to właśnie takie strapienia ciche, pokorne. A wzorem dla nich — wzorem pokornego znoszenia udręki — jest cierpienie Chrystusa na Krzyżu. Słusznie w przedmowie podkreśla Jarosław Horaczek szczerość katolickich uczuć i wierzeń Gajdosza — a pochwała ta tem większe ma znaczenie, że sam autor przedmowy w innym wychował się duchu. Słuszne jest też spostrzeżenie Horaczka o różnicy, jaka w tym względzie zachodzi między Gajdoszem a wodzem czeskiej „Katolickiej moderny" Durychem. Formę ma Gajdosz własną, choć językiem niekiedy zbliża się do Brzeziny (pewne nadużywanie wyrazu „ekstaza"); lubi posługiwać się kontrastami barw, a porównania i przenośnie bierze głównie z życia wsi i z liturgji kościelnej. Całość zbiorku ma wysoką wartość etyczną i artystyczną; godzi się powtórzyć słowa Horaczka: *„Ta celá sbirka bàsni je dobra"* — ten cały zbiór poezyj jest udany.

Warto nadmienić, że Gajdosz włada wybornie językiem polskim i zna dobrze literaturę polską, której wiele utworów już przełożył. (J. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

OGLĄDAJĄC na wystawie w IPS-ie prace wyróżnionych dyletantów, widz może ulec wrażeniu, które się wyrazi w takiej mniej więcej formie: nie uczyli się, a jednak wcale nieźle malują. Podobne ujęcie sprawy należy zgruntu uważać za niewłaściwe. Pokonanie trudności w osiągnięciu pewego rezultatu bez nauki można podziwiać, skoro jednak wiedza, w danym wypadku, dałaby wynik prędszy i szczęśliwszy, niema powodu

pozbawiać się jej pomocy. To też na wystawie dylentantów powinniśmy przedewszystkiem zwrócić uwagę nie na dzieła powstałe pomimo braku wiedzy, lecz dzięki właśnie jej brakowi. Obrazy S. Blachowskiego, E. Wilczyńskiego, B. Cioka, W. Chruścińskiego różni zasadniczo od prac „urzędowego“ malarstwa tylko prymitywniejsza technika, pozatem ujęcie tematu i sam temat pozostaje przeważnie niezmieniony. Dlatego tych ludzi należy kształcić, kultura nie wypaczy ich sposobu widzenia, on jest taki sam, jak u innych — a zato da im większą sprawność wymowy. Dzisiaj wyróżnia te utwory wysiłek autorów — samouków i specyficzny posmak prymitywnej techniki, nie pozbawiony pewnego pieprzyku. Trzeba przyznać również, że poświęcilibyśmy więcej uwagi tym pracom dzielnym i sympatycznym, nieraz pięknym, gdyby nie sąsiedztwo indywidualności, która je przytłacza, wyrastając wysoko ponad ich miarę. Mowa o szewcu, Antonim Praclewskim. Trudno nawet mówić o jego dojrzałości duchowej, co nie ulega najmniejszej kwestji, trzeba raczej podkreślić rozległość jej horyzontów. Indywidualność tak odrębna i o takiej skali staje odrazu w rzędzie najwybitnieszych współczesnych artystów. Nonsensem byłoby kształcić go, on bowiem umie wszystko, co mu potrzeba do wyrażania własnej idei plastycznej. A pozatem, wtłaczanie Praclewskiego w ramy pojęć o sztuce, naszego dzisiejszego pokroju, zniszczyć by mogło jego odrębność, co zaś mamy do ofiarowania mu wzamian? Rachunek jest nierówny.

Praclewski—to prymityw najczystszego i najpiękniejszego typu, objawiający się nie w nieudolności formy (to jest sprawa drugorzędna), lecz w sposobie widzenia świata i jego spraw. Nie prześlizguje się beztrosko ponad życiem—jak wielu współczesnych artystów — przeciwnie zwraca się doń. Nie unika rzeczy codziennych, nie drapuje ich w płaszcz wzniosłości, uszlachetnia je, każąc im brać udział w zdarzeniach pełnych treści. Kto dzisiaj w wielofigurowej kompozycji, często symbolicznej, odważy się użyć strojów współczesnych?

Jego tematy są rozległe, przez ich obszerność może się wypowiedzieć pełniej i dosadniej. Jakie możliwości mają przed sobą uprawiacze popularnych dzisiaj w malarstwie tematów? Czem się mogą odróżnić dwie „martwe natury“ np.? Techniką i ujęciem formalnem. Obracamy się w kręgu tych niewielkich różnic. Żeby wyjść poza nie, „martwa natura“ musiałaby się stać odskocznią. Trzeba być artystą, nietylko malarzem. Artyści powinni marzyć o tematach, któreby mieściły w sobie życie obecne, i to, co je nurtuje. Odtwarzając je, ujawnią swój do niego stosunek, a tem samem i siebie. Odwracamy się od wszystkiego, grzebiąc w smakołykach techniki i podejścia formalnego. Skądże potem ten żal niewczesny: nikogo nie obchodzi nasz mały światek. My mamy dowcip, a trzeba mieć ideę. Praclewski ją ma. Poeta, epik, opowiada. Widzimy jak wyobraża sobie „Sąd Boży“ „Wolność, Równość i Niepodległość“, rządy „Kazimierza Wielkiego“, „Scenę z Hamleta“, „Balladę Mickiewicza“ i t. p. Nie wiele nas obchodzi, ile w tem wszystkiem może być literatury, inscenizacja każdego z tych tematów ma wybitne walory plastyczne, dekoracyjne, bo to jest wizja plastyka. Fragmenty jego płócien zdumiewają twórczą świeżością ujęcia kompozycyjnego. Jeśli chodzi o techikę, wynalazł również własne sposoby, całkiem przemyślne.

Po Praclewskim należy wymienić Jana Laskowskiego, ślusarza. Nie posiada on poetyckiej wyobraźni Praclewskiego, która pozwala mu bez upiększania rzeczy odkrywać ich piekno. Artysta — ślusarz nie szuka innej pani poza naturą i powtarza dokładnie to, co ona mu podpowiada. Zrzekając się prawa wyboru, odtwarza wszystko z jednakową pieczołowitością. Ale ponieważ ten opis, przy swej staranności, dokonywany jest stylem nieuczonym, całość nie ma suchości protokułu. Ma natomiast pewien urok to łaknienie rzeczywistości, zaspokajane z tak prostoduszną i nabożną żarliwością.

W dziale rzeźby trzeba przedewszystkiem wymienić 15-letniego pastuszka H. Koźmierkowskiego, który wystąpił z kopją ołtarza Marjackiego w Lipinie, po swojemu stylizując, już w oryginale stylowe dzieło. Pozatem żydek, E. Frydman, meblarz, dał wyśmienitych w charakterze, groteskowo pojętych, „Handlarzy żydowskich“, a wymieniony na początku W. Chruściński — b. piękny w kolorze pejzaż.

WIKTOR PODOSKI

FILM

PAN: „Braterstwo ludów“ Reż W. Pabsta

Film w życia górników kopalni węgla na pograniczu niemiecko - francuskiem, ma za temat akcję ratowniczą w czasie katastrofy. Usunięto tu w cień efekty sztuki, by za nią przemówiła prawda życia. Nie wszystko jednak, co prawdziwe, jest artystyczne. Trzeba umiejętnie zestawiać wycinki natury, żeby zestawienie miało wartość emocjonalną.

Zalety: stosunkowo świeży i niezużyty temat, djalogów mało i nie przeszkadzają — wszystko jest zrozumiałe bez nich, niewysuwanie aktora na popisowe pierwszoplanowe role. Wady: niewyraźna architektura całości, nieco za powolne tempo i już nieznośna, deklamcyjna bujda pacyfistyczna na temat: „robotnicy kochajmy się“, w stylu wiecowych przemówień. Doklejona sztucznie, jako zakończenie, wszystko psuje.

Zdjęcia nierówne.

KANDYD.

NOWE KSIĄŻKI

Nasza walka o szkołę polską, 1901 — 1917. Opracowania, wspomnienia, dokumenty zebrała Komisja histor. pod przewodn. prof. dr. Bogdana Nawroczyńskiego. T. I. War. z. 1932. S. XII i 487. Z ilustr.

Talko-Hryncewicz Juljan. Wspomnienia z lat ostatnich, 1908 — 1932. Warsz. 1932. Dom. Ks. Pol. S. 197. Z ilustr.

Przegląd Powszechny. Kraków, październik.

Przegląd Współczesny. Kraków, październik.

Ruch Literacki, wrzesień 1932, nr. 7.

Wojciechowski Jakób. Raz kiedyś a obecnie. Ze wstępem Boya - Żeleńskiego. Warszawa (1932). Bibl. Boya. S. 219.

Helsztyński Stan. Wenecja nad Brdą. Dytyramby. Bydgoszcz 1932.

Ateneum Kapłański, sierpień - wrzesień.

Sypowski Franciszek. Piękno dusz i życia. Kraków 1933. Ruch.

Filipowiczówna Jadwiga. Rozkosze nieba. Warsz. 1932. (Poemat prozą).

Grabowski Witold. Wspomnienia Kaliszanina. O życiu młodzieży akadem. w latach 1884 — 88. Kalisz 1932. S. 16.

Pietrykowski Tadeusz. Fr. Ks. Tuczyński, wielkopolski pisarz ludowy. 1890 — 1930. Toruń 1932. S. 54.

Karpacki Bogdan. Marsz po próchnie. Poezyj t. I. Ludzie w hełmach. Poezyj t. II. Księg. M. Hasklera. — Skład w Domu Książki Pol.

Boy - Żeleński. Okno na życie. Wrażenia teatralne. Warsz. 1932. Bibl. Boya. S. 315.

Strug Andrzej. Żółty krzyż. Tajemnica Renu. Powieść. Warsz. 1932. Gebethner i Wolff.

OFENSYWA

WŁOCH, ALE NIE RASOWY

ZIMA za pasem, rankiem szarym szron na „glebowych bruzdach" (III tom Poezji Klaudyny Wasserabschlak) a tymczasem dzięki „dosiemu latu babiemu" (II tom poezji Virginji Zweyfussianki) na oślich łączkach i „ściernistych upłazach" (debiut poetycki Maxa Pinkowskiego) kwiatuszki barokowego serwilizmu, liberyjnej elokwencji, dworskiego płaszczenia się, pokracznego podlizywania, lokajskiego służalstwa i glycerynizmu czyli włażenia bez pomocy mydła. Kiedyś za lat kilka będą je cytowali jako *curiosa* panegirycznej, denaturowanej i zwyrodniałej prozy, jaką posługiwała się „elita", wywodząca się z warstw w pierwszem pokoleniu dla kultury dopiero uzyskanych.

Oto próbki tego stylu nowego, eufuicznego, makaronowego, przypominającego język panegirystów z epoki Saskiej. *Exemplum*, mowa niejakiego p. Dziadosza (Lodomerja), oczywiście „doktór" i „prezes"..., „prezes okręgu stołecznego" i wogóle jakaś figura znaczna z tej ery. Mówi tak:

„— Legjoniści! Przedewszystkiem pędźmy do Komendanta, do Wodza naszego umiłowanego. Niech szaleje nasz okrzyk, jak wicher Nowym Światem, Alejami, wśród tłumów ludzi, przez ludzkie osiedla, przez warsztaty, poprzez wszystkich. Niech zerwie na nogi śpiących, niech otworzy oczy ślepym, niech obudzi maleńkie dzieci, by pamiętały na całe życie, jak żołnierz polski czcił swego Wodza. Niech do stóp Jego przypadnie i żarem i t. p..."

Exemplum secundum: Bochniak, inspektor szkolny w Sochaczewie. Pisze artykuł w „Wiadomościach Mińsko-Mazowieckich" (nr. 6) pod tytułem: „Nasz bohater":

„Opanował poprostu wszystkie dziedziny naszego narodowego bytu, wtargnął w obręb naszych militarnych i społecznych pomyśleń oraz ujarzmił polską twórczość. Najdziwniejsze, jak szybko owładnął olbrzymie obszary myśli polskiej współczesnej równolegle do swoich pociągnięć. Na chwałę Jego imienia poszło wszystko, co tylko żyło wielkiego i zdolnego w narodzie...

Na wielkich walcach maszyny współczesnej skrapla się niepowstrzymanie i gęsto imię i wola nieugięta Piłsudskiego. Włodarzenie Jego obejmuje całokształt kraju i nadaje mu odmienną formę, wtłacza w odmienne i stałe kategorje".

Exemplum tertium: Orski (?) Imię Lesław. Drukuje artykuł w piśmie: „Przełom" (nr. 3).

— „Józef Piłsudski w roku 1919, oprócz cnót i cech charakteru wielkiego męża stanu, wielkiego wodza, umiejącego chcieć i działać, przejawił w najwyższym stopniu i te cnoty wierzącego w swój naród obywatela, który, po wykonaniu swego dziejowego zadania, dzieło przez siebie dokonane z zaufaniem oddaje w ręce inne, by one podtrzymywały przez niego dźwignięty sztandar".

Możnaby tu takich kwiatków myślowo-stylowych, takich panegiryków i poryków cytować mnóstwo, głównie z brukowo-rządowej prasy pobranych.

W ostatnich czasach na front takich „stylistów" i prozatorów wysunął się nieco buńczucznie typ już wyjątkowo nieapetyczny, którego wypadnie atoli wyróżnić dziś dłuższem przyszpileniem i zaszczytną wzmianką. Nie dlatego typ ten wyciąga się pod światło, żeby przypisywało mu się jakiekolwiek znaczenie, ale dlatego, aby wykazać, do jakiej degryngolady, do jakiego obniżenia poziomu doszły już konfiguracje prasowe w stolicy, jeżeli takiem czemś trzeba choćby tylko przelotnie zaprzątać uwagę czytelników.

Mamy tu na myśli tego takiego doktora Włocha, obecnego *„leadera* politycznego" zgrzybiałego brukowca warszawskiego, osławionego „Poranniaka" ongiś tak zwanej „obory tajnych celów". Upłynęło już lat pięćdziesiąt tego „organu opinji publicznej" a dotychczas jeszcze nikt nie napisał sensacyjnej powieści z za kulis żywota tego starszego, ale rodzonego brata Krakowskiego „I-K-A-C-A". Ten pan Włoch wypłynął z od-mętów bytu. Wżeniwszy się się w familję dzisiaj już zbankrutowanego i zrujnowanego (fizycznie i moralnie) wydawcy, jakiś czas, po groźnych i ordynarnych awanturach i rękoczynach z senjorem rodu, przebywał na banicji w Szwajcarji, a znów od jakiegoś czasu pogodzony z geszeftem przy ul. Marszałkowskiej *(toute la nuit ouvert)* kieruje „politycznie" zakładem.

Początkowo ten cały pan Włoch zachowywał się skromnie i powściągliwie, nie narzucając swej persony i swego „światopoglądu" poważnej opinji. Od lata atoli, od pogromu finansowego Fela Fryze raptownie nabrał jakiegoś niewytłumaczalnego tupetu, „poczuł się w swem jestestwie", kolejno teraz on wyrzucił „głowę rodziny" za drzwi i zaczął zabierać głos w różnych kwestjach apodyktycznie, arbitralnie, arogancko. Panu Włochowi urosły rogi od czasu, gdy szewc w Ipsie swojemi obrazami zyskał takie uznanie w Warszawie. Teraz i pan Włoch już nie pilnuje swojego kopyta, ale wierzga na wszystkie boki i strony, kombinując sobie, że wśród narybku i na bezrybiu *„Canale Poranne"* i on może uchodzić z czasem za „sołowieja". Pokątnej inteligencji reporterskiej wyższa polityka (zagraniczna) uderzyła na mózg wprost nieuleczalnie. Najtypowszy prowincjonalny „szmok" opija się europejską prasą i europejskiemi aferami jak fuzlem. Czyta i czyta stosy gazecisk, a potem preparuje z tego dla konsumętów Poranniaka gulasz czy paprzykarz, kulinarnie na poziomie „Baru Kokos". Ponieważ nadal nikt się oczywiście „światopoglądem" dr. Włocha nie interesuje, ani go cytuje, ani z nim polemizuje, a jego zażarta grafomanja jest nadal tem, „o czem się nie mówi", więc starodawnym obyczajem szmokerji prasowej, pracowity rękodzielnik, aby tylko zwrócić uwagę i zmusić do traktowania go wogóle *per est*, przyswoił sobie od jakiegoś czasu metodę wrzasków i napaści.

Temu to mianowicie pochroniowatemu elegantowi zafundowano Genewę na czas ostatniego *staggione* Ligi Narodów. No i tu się typowo prowincjonalny i pokątny „żurnalista" zasypał po dziurki od nosa, fatalnie niezgrabnością swą i prostactwem wywdzięczając się ministrowi za lekkomyślne fawory. Pisząc dzień w dzień trywjalne i ignoranckie „Listy z Genewy", jednego dnia dla sensacji palnął sobie taki telegram...

Genewa, 4 października.

Możemy obecnie wyjaśnić, kto głosował przeciw kandydaturze Polski w Radzie Ligi Narodów. Państwami temi są mianowicie: Niemcy, Węgry, Czechosłowacja i Szwecja. Natomiast Litwa głosowała za Polską i p. Zaunius po dokonaniu wyboru Polski podszedł do delegacji polskiej i złożył jej gratulacje z powodu wielkiego sukcesu.

Dr. Władysław Włoch.

Galimatjas, jaki wywołał tą kalumnją kręcący się i wiszący u klamek przy „Państwie Zaleskim" Szmok tramtadrata, doprowadził do tego, że rządowa Agencja „Iskra" musiała w ślad za tem wysłać taki telegram:

GENEWA, 5 10. W tutejszych polskich kołach dyplomatycznych i dziennikarskich zdumienie wywołała przetelefonowana z Warszawy wiadomość, iż jedno z pism warszawskich podało w numerze z dnia 5 b. m. depeszę z Genewy, w której wymieniło cztery państwa, rzekomo głosujące przeciwko Polsce przy wyborach do Rady Ligi Narodów. Wymienienie państw, które oddały głos za lub przeciw Polsce, musi opierać się w obliczu ścisłej tajności głosowania tylko na domysłach, których sprawdzenie jest zupełnie niemożliwe.

Jakaż teraz nauczka z tego? Jaki morał? Oto konieczność ściślejszej selekcji w doborze liberji prasowej, którą się bierze zagranicę. Dawniej, bywało, jeździły same żydy, teraz zaś prócz żydów także Włochy, których cała mentalność, cały styl, całe artykuły, cała kultura, „erudycja", wreszcie cała metoda i robota dziennikarska kwalifikują się wyłącznie do rodzimej i swojskiej *„Camera Obscura"* i są poprostu jedną wielką „Oślą Łąką".

Wiązankę kwiatuszków włochatych z tej grzędy mógłby zebrać i „Cyrulikowi" wysłać któryś z byłych współpracowników, wygryzionych z „Obory Tajnych Celów" przez tego pana, który ostatnio „patrjotycznie" napadł nawet na... Holendrów... Coprawda w obronie tamtejszych Fryzów *(sic)*.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

— To tak się mówi: ideowiec, ideowiec! — tymczasem oskarżony jest o udział w bandzie.

— A jeśli się pokaże, że niewinien?

— To jeszcze gorzej — bo ideowiec.

*

— Czytał pan? Napisali o panu, że pan nie zasługuje na zaufanie, bo pan popełnił szereg zbrodni. Niech pan skarży do sądu.

— Za wysokie mam stanowisko, aby dbać o czyjeś zaufanie.

*

— Panie prezesie, jeśli wyrostek pana tak boli, to czy nie lepiej radykalnie go usunąć?

— Stara szkoła! Wyrostek jest w „bebechach" potrzebny. Przyłożymy kataplazm i wszystko się uspokoi.

*

— Ze złem trzeba walczyć!

— A rozbrojenie moralne?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9 87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.